POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ



Fot. T. Makomaski

Przyjaciele z Alto Parana

60 Gr.

Polacy w całym świecie

Rocznik II — Nr. 11

Królewska Huta G. Śl. — Gdynia
15-go czerwca 1934



Anna Samokiszczuk
hucułka z Żabiego, grająca rolę główną w sztuce „Noc Świętojańska"

»Światowy Związek Polaków«

II. Zjazd już bliski!

Potrzeba konsolidacji, jaknajściślejszego powiązania 8 miljonowej Polonji Zagranicznej, stała się koniecznością dziejową. Pięcioletni etap prac Rady Organizacyjnej — naczelnej instytucji Polaków zagranicą — dał impuls i podstawy do skupienia się pod jednem wspólnem, wielkiem hasłem — zjednoczenia. Akcja, wszczęta przez Radę, wydała już trwałe i widoczne owoce w postaci tworzenia i cementowania się organizacyj terenowych, stojących twardo na gruncie jaknajściślejszego przywiązania do Macierzy. Mozoł pięcioletniej pracy i wysiłków — to podstawy pod fundamentalny gmach, gmach zjednoczenia, którego pełnym wyrazem będzie Światowy Związek Polaków.

Dziś, w przeddzień II Zjazdu Polaków z Zagranicy, cała Polska światowa, staje przed momentem historycznego znaczenia. Światowy Związek ma być nietylko tytularnym szyldem naszych braci zagranicą, będzie on wyrazem zlania się duchowego z Macierzą, wyrazem siły i potęgi. Zorganizowanie i skierowanie wysiłków Polonji Zagranicznej na wspólne tory, dyktowane interesem Narodu, znajdzie odzwierciadlenie w przyszłym Związku.

II Zjazd — zjazd „Zjednoczenia", pamiętny sierpień 1934 r. — to chwila dumy narodowej, chwila podniosła i uroczysta. Na Wawelu, wśród historycznych murów o wiekowej tradycji, nastąpi inauguracja Światowego Związku Polaków. Potęga przeszłości, zamkniętej w teraźniejszości, owiana tradycją historyczną, stanie się świadkiem tej doniosłej w dziejach Odrodzonej Polski chwili.

Dwa lata minie od momentu rozpoczęcia przez Radę Organizacyjną akcji prasowej wśród Polonji Zagranicznej. Można śmiało powiedzieć, że dziś niema na świecie kraju, w którym wychodzi pismo polskie, aby hasło powołania do życia Światowego Związku Polaków nie wywołało radosnego echa. Artykuły, zamieszczane w wydawnictwach Rady — miesięczniku „Polacy Zagranicą" i biuletynie, traktujące o Światowym Związku Polaków, były i są jeszcze nadal masowo przedrukowywane przez wielką ilość dzienników polskich zagranicą i w kraju. Jeśli dziś idea Światowego Związku Polaków przyjmuje formy coraz bardziej konkretne, a znajdzie pełny wyraz w ostatecznem uskutecznieniu na II Zjeździe — to lwią zasługę w dojrzeniu tej myśli należy oddać prasie — polskiej prasie zagranicą.

Radosna chwila urzeczywistnienia marzeń Polaka zagranicą o wspólnej organizacji staje się bliska.

Obramowaniem niejako wielkiego dzieła powołania do życia Światowego Związku Polaków będzie cały szereg imprez, jakie odbędą się w okresie II Zjazdu. Na czoło wybijają się wielkie Igrzyska Sportowe Polaków z Zagranicy, w których weźmie udział około 400 zawodników polskich z zagranicy, Zlot Młodzieży, Konferencja Prasy etc. Oprócz tego urządza się z okazji Zjazdu wielką ilość wycieczek do Polski. Szereg krajów wyznaczyło już dokładne terminy przyjazdów. I znów na tem miejscu muszę pisać o wielkiem znaczeniu propagandy ojczystego kraju, którą planowo przeprowadza prasa polska na obczyźnie. Za przykład może służyć prasa polska w Niemczech i Stanach Zjednoczonych.

Tymczasem w kraju praca przygotowawcza do II Zjazdu wre. W zgodnym, harmonijnym wysiłku, jakby niewidocznemi nićmi połączeni, dają fundamentalne podstawy pod Światowy Związek Polaków — oni robotnicy idei — nieskrępowani rygorem służbowym, nie zachęceni awansem, ludzie, którzy w toku codziennych zajęć mają zawsze czas, który poświęcają trosce, aby wszystko w kraju na przyjęcie braci z obczyzny było przygotowane. Wysiłek twórczy — organizacyjny, programowy i propagandowy, skupia się w zespole 400 osób, które biorą udział w przygotowaniu Zjazdu.

Stoimy w obliczu epokowych wydarzeń. Dla upamiętnienia wielkiego Zjazdu i skrystalizowania idei, skrzepłej w jednomyślnych poczynaniach, na ostatniem zebraniu Prezydjum Rady Organizacyjnej zastanawiano się nad wzniesieniem trwałego pomnika, któryby symbolizował równocześnie wielką chwilę powiązania duchowego 8 miljonów Polaków zagranicą. Projekt, rzucony przez dyrektora Rady Organizacyjnej, p. Stefana Lenartowicza, a poparty przez p. marsz. Władysława Raczkiewicza, znalazł uznanie członków Prezydjum. Rzucono mianowicie hasło budowy w Warszawie Domu Polaka Zagranicznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Projekt ten winien znaleźć moralną aprobatę wśród najszerszych warstw Polaków zagranicą. Wybudowanie gmachu będzie niejako uzewnętrznieniem idei, które nurtowały w duszy Polaka zagranicą. Dom Polonji Zagranicznej stałby się centralą promieniowania i oddziaływania w duchu narodowym wśród rzesz wychodźczych, stałby się łącznikiem moralnego powiązania z Macierzą, wreszcie symbolem i trwałym pomnikiem: zgody, jedności i braterstwa.

Władysław Oszelda

Przygotowania na II Zjazd są w pełnym toku

Jak wynika ze sprawozdań prezesa Komisji Organizacyjnej II Zjazdu Polaków z Zagranicy — dyr. Stefana Szwedowskiego, i prezesów poszczególnych sekcyj, — wygłoszonych na ostatniem posiedzeniu prezydjum Komisji, czynności wstępnie zostały już ukończone, prace organizacyjne są w pełnym toku i zostaną ukończone już w połowie lipca.

Na Zjazd spodziewane jest przybycie kilkuset delegatów i około 7 000 osób, które wezmą udział w zorganizowanych z okazji Zjazdu wycieczkach do Polski. Do obecnej chwili zgłoszono już szereg wycieczek Polaków z Ameryki Północnej i Południowej, Francji, Czechosłowacji, Rumunji i Estonji. Sekcja Komunikacyjna uzyskała dla uczestników Zjazdu zniżki kolejowe i organizuje przyjęcia wycieczek na granicy oraz w miastach, przez które uczestnicy Zjazdu będą przejeżdżać.

Sekcja Kwaterunkowa przygotowała już około 4 000 kwater.

We wszystkich miastach, które odwiedzą delegaci na Zjazd, tworzą się Obywatelskie Komitety przyjęcia uczestników Zjazdu — pod przewodnictwem prezydentów miast.

Prezydjum Komisji Organizacyjnej przyjęło projekt organizacji w całym kraju „Dnia Polaka z Zagranicy", w którym to dniu we wszystkich miastach powiatowych odbędą się uroczyste obchody, akademje, defilady i t. p. oraz wysłane będą sztafety do Warszawy z powitaniami dla Zjazdu Polaków z Zagranicy.

Sekcja Prowincjonalna współpracuje z Komitetami Obywatelskiemi i organizuje wycieczki dla uczestników.

Przewodniczący Rady Artystycznej przy Komisji Organizacyjnej, prof. Bogdanowicz, przedstawił prezydjum projekty dekoracyj sal obradowych oraz miasta.

W dziewiczych lasach Alto Parany

Tadeusz Makomaski, Brazylja

Zdjęcia własne autora

Wszystkim czytelnikom pism polskich, interesujących się życiem Polaków na obczyźnie, znany jest zapewne stan Parana, położony w południowej Brazylji. Nie wszystkim jednak jest wiadomo, że stan ten, w którym Polacy stanowią dzisiaj około 25 % zaludnienia, jest w większej swej części niezamieszkały i pokryty dziewiczą puszczą.

Parana, która jest od Polski mniejsza obszarem zaledwie o 100 000 km, ma tylko około 800 000 mieszkańców. Cały daleki zachód tego kraju, tak zwana Alto Parana, jest puszczą nieprzebytą, w której przypadkowy mieszkaniec czy podróżny czuje się jeszcze zupełnie niepewnie. Olbrzymie lasy Parany są w większej swej części naprawdę dziewiczemi, gdyż nawet Indjan, tych pierwotnych władców puszczy parańskiej, nie można w nich znaleść. Na Indjan podziałała tak „zbawiennie“ cywilizacja europejska, która i dzisiaj jeszcze, pod postacią alkoholu, oddziaływuje na pozostałe ich resztki.

Niegdyś istniała tutaj wielka republika indyjska, stworzona przez Jezuitów, ale od czasu jej trwania i upadku minęło już setki lat i nawet słych wszelki o niej zaginął. Republika ta, po wypędzeniu jej prawowitych władców przez Portugalczyków, zniknęła a raczej, jak tu mówią, rozlazła się. Rozlazła się dlatego, że jej obywatele Indjanie rozprószyli się po lasach. Ośrodkiem tej republiki miały być okolice średniego biegu rzeki Parany, od ujścia rzeki Piquiry, aż do granic dzisiejszego stanu Sao Paulo. O istnieniu tej, dość dobrze jak na owe czasy zorganizowanej republiki, świadczą po dziś dzień zachowane ruiny osad i miast indyjskich takich jak Villa Rica i Jesus Maria nad rzeką Ivahy, Sao Thome i Arcangeles nad górnym Corumbatahy, Guayra u ujścia rzeki Piquiry do Parany i wiele innych już dzisiaj nieznanych i zapomnianych miast.

Dziś ruiny te zarosły trawą a na ulicach, ludnych niegdyś miast indyjskich, szumi dziewiczy las. Pozostały jeszcze tylko legendy o skarbach zakopanych w ziemi, na poszukiwanie których, nie baczne na trudności awanturnicze elementy, robią od czasu do czasu wyprawy. Kulturalni niegdyś Indjanie, pozbawieni swych przywódców, zdziczeli na nowo.

Do Szan. Redakcji czasopisma „Polacy w całym świecie“

Zgodnie z obietnicą, przesyłam Sz. Panom drugą korespondencję z Parany wraz z kolekcją mych fotografij.

Ostatnia ośmiotygodniowa włóczęga po dziewiczych lasach zachodniej Parany, pozwoliła mi zapoznać się bliżej z tym najciekawszym może kątem naszego Stanu. Wrażenia moje są świeże. Pomimo, że p. dr. Ignacy Popiel-Szmidt zarekwirował nam — sądząc z napisu na fotografji w numerze piątym — nasz wodospad, sprawy mu o to wytaczać nie będę, nie chcąc poróżnić się z sąsiadem o miedzę... Mimo to właśnie, prześlę Panom wkrótce szereg fotografij i korespondencję z tego, może najpiękniejszego na świecie, wodospadu, jakim jest brazylijski Fos do Iguassu.

Z powodu tego, że wiele z moich fotografij znajomi moi z Polski dają do pism bez mej wiedzy i pozwolenia — nie wymawiając Panom zdjęcia pp. Lepeckiego i Mazurka —, proszę o umieszczenie pod przesłanemi przeze mnie zdjęciami mego podpisu. Zresztą o tamte fotografje zbytniej pretensji ani do Panów ani do ofiarodawców nie mam.

Mam większe zacięcie i aspiracje do fotografji aniżeli do literatury, dlatego proszę o dobre ulokowanie, specjalnie mojej małpki z kotem, z których jestem dumny. Jeżeli Panowie mogą, to wcale się nie pogniewam, jak moją małpkę dacie na pierwszą stronę okładki, bo warta tego. Prawda?

Tymczasem przesyłam jeszcze raz pozdrowienie z za wody.

T. Makomaski

Uwaga Redakcji: Pomimo, że p. Makomaski — powodowany widać wrodzoną skromnością — prosi nas w P. S., ażeby tego listu nie publikować, my jednak nie możemy powstrzymać się od podania do publicznej wiadomości tych kilku ciepło skreślonych słów naszego sympatycznego czytelnika i korespondenta.

Alto Parana — Indyjsy myśliwi ze szczepu Guarany — Fot. T. Makomaski





Patrząc na mapę tych stron, mogłoby się dziwnem wydawać, dlaczego aż w tak odległe od morza okolice zapuścili się Jezuici. Wytłumaczenie na to mamy proste. Przedewszystkiem chodziło im o wydostanie się z pod — bardzo przykrych nieraz dla nich — rządów kolonjalnych Portugalji. Trzeba bowiem wiedzieć, że władza portugalska ograniczała się tylko do wybrzeży. Z drugiej zaś strony, ten odległy od morza szmat ziemi nie jest znowu tak deskami zabity, jakby się zdawało. Posiada on furtkę na świat w postaci potężnej i sławnej, od wodospadów Santa Quedas, rzeki Parany, która łącząc się z Urugwajem i Paragwajem, wpada do oceanu jako La Plata. Ogromny ten szmat ziemi, o nadzwyczaj żyznej glebie, różni się zasadniczo od zamieszkałej reszty Parany swą konfiguracją. I tak, kiedy wschód jest górzysty i w dużej części stepowy, to zachód jest równiną pokrytą wszędzie dziewiczym lasem, nietkniętym na przestrzeni setek kilometrów stopą człowieka. Jest tam królestwo jaguara, pumy, tapira i innych czworonogów, a mała małpka „Miko" spogląda z drzewa zdziwionym wzrokiem na przedzierającego się przez puszczę myśliwego, szukającego przygód awanturnika lub przypadkiem w strony te zagnanego podróżnego. Dla człowieka, przybyłego ze stron cywilizowanych, dziwną wydaje się mała bojaźliwość u tutejszych zwierząt i ptaków. U zwierząt tych, zamiast lęku przed intruzem, pojawia się raczej pewna ciekawość na widok nieznanej istoty, która zakłóca spokój puszczy; zresztą spokój bardzo względny, gdyż las ten żyje swojem orginalnem życiem.

W puszczy brazylijskiej robi się gwarno już o wczesnym świcie. Liczne stada różnych gatunków papug, od ślicznych, ogromnych, czerwono-niebieskich, mogących swoimi zakrzywionemi dziobami giąć żelazo, Ar począwszy, aż do maleńkich, zielonych, o czerwonej główce Piriquitos, zaczynają dzień rażącym uszy ludzkie, wrzaskiem. Rywalizują z papugami w tym

Obok:
Dziewczyna ze szczepu Guarany

Poniżej:
Przeprawa przez rzekę Piquiry

Fot. T. Makomaski





Powyżej:
Obozowisko na pikadzie do Porto Piquiry

Obok:
Mali Indjanie ze szczepu Guarany   Fot. T. Makomaski

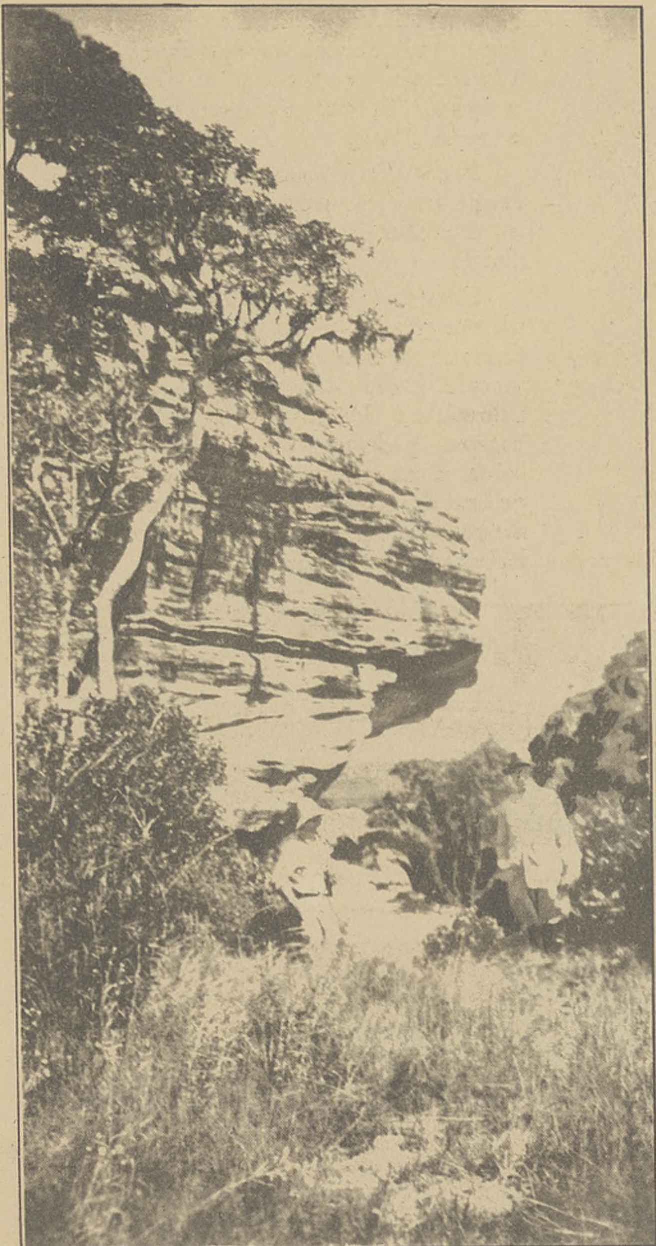


oryginalnym koncercie granatowo i szarobiałe, o barwnem upierzeniu sroki, ptaki nadzwyczaj żywe. Dopełnienie tego ptasiego koncertu - wrzasku tworzą głosy małych, miłych ptaszków Bem te Vi, które łudząco naśladując głos ludzki, powtarzają ciągle w kółko to zdanie: „Bem te Vi" — dobrze cię widziałem.

Kaboklerskie podanie mówi, że Bem te Vi jest zaklętą w ptaka duszą człowieka.

Miał niegdyś, z zasadzki, zabić brat brata. Dusza zabitego, chcąc się zemścić za swym zabójcy, zamieniła się w ptaka, który latając całemi dniami nad mordercą, powtarzał w kółko „Bem te Vi — Bem te Vi", aż ten z rozpaczy, nie mogąc znieść tego głosu, popełnił samobójstwo. Jednakże zamieniona raz w ptaka dusza nie mogła się już wyzwolić i do dnia dzisiejszego prześladuje morderców, kryjących się po lasach Brazylji. Morderców tu nie brak. Dlatego też Bem te Vi pomimo ogólnego kryzysu, który już podobno i ptakom zaczyna zagrażać, nie będą się uskarżać na brak zajęcia.

Trudno by mi było wymienić wszystkie skrzydlate stworzenia, które swemi miłemi nieraz głosami rozweselają drzemiącą puszczę. Na wymienienie zasługują jeszcze Jacutinga i Jacu, dwa gatunki dzikich indyków i niemądre Nacueń, ptaki, które na lichą nawet imitację swego głosu, idą prosto na człowieka i tę swoją głupotę czy ciekawość przypłacają często życiem. Dorównać ptakom w tych koncertach starają się małpki z gatunku „Mico" albo „Bujiu" — gatunek małego wyjca, które rzadziej pokazują się człowiekowi na oczy. Małpki te nie są już tak łagodne i łatwowierne jak ptaki. Gdy się człowiek pokaże pod ich nadziemną siedzibą, zaczynają hałaśliwie okazywać swoje oburzenie. Na intruza sypią się gałęzie, a co gorsza, nieraz na głowę człowieka zaczyna się lać nieprzyjemny „płyn". Małpy naogół, pomimo, że są bardzo ciekawe, są również i bardzo ostrożne. W niektórych okolicach zamieszkałych robią one wielkie spustoszenia, zwła-



szcza wśród kukurydzy. Gdy kukurydza dojrzewa, całe stado małp wybiera się na kradzież. Orjentują się one doskonale, że właściciel pola nie jest z tych wizyt bardzo zadowolonym, ale nic sobie z tego nie robią. Stado wyjców Bujiu wyszedłszy na granicę lasu i upewniwszy się najpierw, że nikt ich nie widzi, zostawia na drzewie obserwatora a samo schodzi na pole i zaczyna obrywanie kukurydzy. Zerwaną wiążą po dwie sztuki i zakładając obie na szyję, wędrują zpowrotem na drzewa. Zdarza się, że w czasie takiej kradzieży pokaże się człowiek, wtedy całe towarzystwo pozostawia skradziony „towar" i z wielkim hałasem ucieka na drzewa. Gdy jednak upewnią się, że niebezpieczeństwo nie jest groźne, wtedy całą swą złość na intruza, który im przeszkodził w pracy, wylewają przy pomocy hałasu i pociesznych grymasów, wykrzywiając się w taki sposób, jakby chciały przedrzeźniać się z człowiekiem.

Inne zwierzęta, poza małpiem towarzystwem, zachowują się przeważnie cicho. Czasem tylko trzaśnie jakaś gałązka pod nogami sarny, dzika lub psa leśnego, albo do uszu ludzkich dojdzie trzask łamanego lasu przez potworne cielsko tapira, torującego sobie drogę w puszczy.

Dwaj wieczni antagoniści jaguar i puma odpoczywają dniem zaszyci cichutko w gąszczach lasu a dopiero w nocy wychodzą do pracy. W południe, kiedy słońce ustawi się prostopadle do ziemi, puszcza nagle zamiera. Nawet papugi, te najwrzaskliwsze jej mieszkanki, nie odważą się zakłócać nastałej pod wpływem promieni tropikalnego słońca idealnej ciszy. W południe las dziewiczy śpi...

Cisza ta udziela się i człowiekowi. Po skromnym obiedzie, składającym się przeważnie z mięsa zabitego ptactwa, czarnej fasoli i ryżu, kiedy człowiek leży przy ognisku chroniącem go od różnych dokuczliwych muszek i owadów, niechce się nawet mówić. Słowa padają jakoś leniwie, cicho i niepewnie. To puszcza drzemiąca i cicha działa.

Obok:
Skały w okolicach djamentodajnej rzeki Tibagi

Poniżej:
Generał Stefan Strzemieński, były komendant miasta Warszawy wśród Indjan w Coroados w dorzeczu Ivahy Fot. T. Makomaski





Statkiem po rzece Paranie Fot. T. Makomaski

bezpieczne jest ukąszenie w górną część ciała przez żmiję zawieszoną na drzewie. Jad działa wtedy silniej i nie zawsze ma się czas na zrobienie zastrzyku. Zresztą i zastrzyki nie zawsze skutkują.

Największą bodajże plagą dziewiczego lasu jest jedna z najmniejszych jej mieszkanek, maleńka muszka barachudo.

Dziwnem się będzie wydawać dla niejednych, że istną plagą lasów tutejszych są również piękne i kolorowe motyle, które całemi rojami obsiadają człowieka. Może by to zaimponowało naszym pięknym paniom, że motyle biorą je za kwiaty, ja jednak, należąc do brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, niestety nie odczuwałem z tego powodu najmniejszej przyjemności.

Nawet w nocy nie odczuwa się tak przygniatającego majestatu lasu brazylijskiego, jak w gorące i parne południe. Myśl ludzka pracuje leniwie a człowiek, tak jak nigdy może, odczuwa swoją znikomość w obliczu tej wspaniałej, troplikalnej przyrody...

Pod wieczór puszcza ożywia się na nowo i tylko później zmienia koncertantów. Miejsca papug i srok obejmują znowu liczni przedstawiciele ptactwa nocnego, które huczy i wydaje z siebie głosy prawie ludzkie. Teraz zamiast sarn i tapirów wychodzą do „pracy" różni drapieżcy. A więc jaguar, puma, jaguatirica i kot leśny. Nieraz słyszy się zdaleka charakterystyczne poziewanie i lekki, ledwo dosłyszalny trzask łamanych gałęzi. Ciekawy i drapieżny ale zarazem i lękliwy puma, zataczając ostrożnie coraz mniejsze kręgi, posuwa się do ogniska nocnego, próbując czy mu się nie uda czegoś ukraść. Puma niczem nie gardzi, lecz spłoszony ucieka.

Drugi drapieżnik puszczy, jaguar, naogół nie atakuje wprost człowieka, chyba że jest przez niego zraniony, a wtedy staje się bardzo niebezpiecznym. Jednakże mimo tej „jaguarzej zasady" lepiej się mieć przed nim na baczności. Trafiają się nieraz wypadki, że jaguar, nauczony na Indjanach, wyciąga śpiącego z kręgu przygasłego ogniska a nawet z namiotu. Wypadki takie zachodzą jednak bardzo rzadko.

Niebezpieczeństwo w puszczy, poza wymienionymi drapieżcami, stanowią żmije. Są ich tutaj całe masy. A więc różne odmiany jararacas i mała koralówka o ślicznym, czerwono-czarnym deseniu. Na stepach czaji się jadowity grzechotnik. Poza jadowitemi gatunkami bodajże czy nie więcej jest gatunków niejadowitych. Pozatem zdarza się czasem i boa, ale tylko na dalekim zachodzie.

Ukąszenie przez żmiję w dolną część ciała nie jest tak bardzo niebezpieczne, zresztą przed takiem ukąszeniem chronią człowieka długie riogrande'ńskie buty; o wiele więcej nie-



W Nicei (Nice-Cimiez) znajduje się w pięknym parku hotel polski „Polonia", do którego zajeżdżają, podczas pobytu na Riwierze różne osobistości ze świata politycznego i naukowego. Na fotografji naszej widzimy właścicielkę hotelu p. Szczukową i jej córkę p. Ładzinę. P. Szczukowa trzyma w ręku dyplom uznania Koła Polskiego w Nicei, za zasługi położone na polu organizacyj polskich. W krótkim czasie umieścimy oryginalną korespondencję z Nicei.

POLACY W NIEMCZECH

Napisał:
LUDWIK BANDURA

(Dokończenie)

Najlepiej przedstawia się ruch śpiewaczy jeszcze w Westfalji, gdzie mamy obecnie 51 kół śpiewaczych, skupiających 2.480 śpiewaków.

Piękną tradycję posiada w Niemczech Sokół. Dziś jednak istnieją nieliczne gniazda sokole. Młodzież nasza posiada zdrowy instynkt, wymachiwanie proporczykami w takt pieśni „Ospały i gnuśny" już jej nie wystarcza, wyczuwa ona, że to już myszką trąci. Młodzież skupia się więc chętniej w drużynach gimnastyczno-sportowych. Największem powodzeniem cieszą się takie sporty jak pięstówka i piłka nożna. Poszczególne drużyny organizują zawody, czasami odważają się nawet podjąć walkę z lepiej wyposażonemi drużynami niemieckiemi. Starsze pokolenie emigracji, które żywi jeszcze kult dla przedwojennego Sokoła, niechętnie patrzyło na tę przemianę i dla sportu nie miało żadnego zrozumienia. Zczasem jednak i ono przekonało się, że nie można utrwalać starych form, jeśli chce się młodzież utrzymać w swoich organizacjach.

Ideowo bardzo silną organizacją, choć liczebnie słabą, jest Związek Harcerstwa Polskiego w Niemczech, na którego czele stoi p. Kwietniewski. Ruch harcerski zapoczątkował się w Berlinie, gdzie w lutym 1915 r. powstała pierwsza drużyna harcerstwa, założona przez p. Mieczysława Marcinkowskiego. Związek Harcerstwa Polskiego w Niemczech bierze oficjalny udział w międzynarodowych zjazdach harcerskich (jambore). Jest to dotychczas jedyna mniejszościowa organizacja harcerska, która została uznana przez międzynarodowe władze harcerskie.

IV.

Na prasę polską w Niemczech składają się nieliczne dzienniki, których poziom jest bardzo niski. Przyczyną tego jest brak zawodowych dziennikarzy wśród emigracji; nakład pism jest znowu tak mały, że redakcje nie mogą sobie pozwolić na podanie wiadomości z pierwszego źródła. Czytelnicy otrzymują więc nowości zawsze z pewnem opóźnieniem. Obecnie wychodzą w Niemczech takie dzienniki: Gazeta Olsztyńska, Głos Pogranicza, Katolik w Bytomiu, wspomniany już Dziennik Berliński i Naród w Herne.

Przyjezdnego z Polski, który bywał na zebraniach polskich i wziął do ręki dziennik polski, uderzała stale lojalność Polaków w stosunku do rządu niemieckiego. Uderzał brak wszelkiego tonu bojowego. Przywódcy emigracji i prasy starali się na każdym kroku uniknąć wszystkiego, co mogłoby drażnić Niemców lub zamącić współżycie. To też zdziwienie ogarnęło wszystkich Polaków, gdy w czasie ostatnich wyborów rząd Hitlera zawiesił wszystkie dzienniki polskie. Emigracja polska w Niemczech nie jest i naprawdę nigdy nie będzie dla Rzeszy Niemieckiej niebezpieczeństwem. Obawy czynników rządzących w Niemczech, sugerowane przez dzienniki nacjonalistyczne i książki szowinistyczne w rodzaju Oertzena „Polen an der Arbeit", są naprawdę śmieszne. O co Polakom w Niemczech chodzi? Chcą zachować przyrodzone prawa do języka, chcą, aby ich traktowano na równi z Niemcami, chcą zachować te zdobycze, które zapewniła im konstytucja weimarska. Te dążenia znajdowały swój wyraz w prasie.

Prócz dzienników wychodzą w Niemczech dwa miesięczniki, wydawane przez Związek Polaków, które są naprawdę chlubą Polaków w Niemczech: „Mały Polak w Niemczech". przeznaczony dla dzieci, który ma 35.000 prenumeratów, oraz „Młody Polak w Niemczech", który czyta 2.500 młodzieży pozaszkolnej. Pisma te są świetnie redagowane. W „Młodym Polaku" mamy przegląd wszelkich poczynań młodzieży, ozdobiony licznemi fotografjami, oraz w dziale rozrywkowym wiadomości z Polski i o Polsce, nowele i wiersze najlepszych współczesnych pisarzy polskich. Każdy numer ma barwną, artystycznie wykonaną okładkę. Zainteresowanie młodzieży temi pismami jest olbrzymie, nie może się wprost doczekać ukazania się nowego numeru. Niestety w okresie dzisiejszego bezrobocia, które jest w Niemczech szczególnie dotkliwe, nie każdego stać na zaprenumerowanie tak cennego pisemka.

V.

A teraz zwróćmy uwagę na najmłodsze pokolenie emigracji. Ono właściwie czuje się dobrze w środowisku obcem, nie rozumie często tej polonomanji swych rodziców. Często przyjmuje nawet język obcy jako swój. Chodzi przecież do szkoły niemieckiej, podlega tak różnorakim wpływom obcym, że rodzice mimo najlepszych chęci nic nie mogą przeciwstawić temu. Ale rodzice chcą dzieci wychować po polsku. Zabierają je więc na zebrania polskie, na uroczystości, a duma ich wzrasta, gdy dziecko ich zadeklamuje polski wiersz. I budzi się w duszy dziecka konflikt. Kim ono jest właściwie? Czy Polakiem, czy należy do obcej narodowości? Rodzice mówią mu jedno, szkoła i życie temu przeczą. W szkole co dzień patrzy na mapę Niemiec, zawieszonej na ścianie, na której wyraziście są zaznaczone „krwawiące rany" granic Rzeszy, mówią mu tam, że obowiązkiem jego będzie kiedyś współpracować nad obaleniem „wersalskiego traktatu hańby". Gdyby tak było można wejrzyć w głąb duszy tego dziecięcia, ujrzelibyśmy jak ciężkie nieraz stacza zmagania wewnętrzne. Wiele z tych dzieci na zawsze zostanie straconych dla narodowości polskiej. Nieraz jednak w takiem wątłem ciele tkwi dusza bohatera! Tylko trzeba ujrzyć, jak budzi się w niem stopniowo świadomość narodowa!

Troska o młode pokolenie była wśród emigracji zawsze bardzo żywa, stanowiła poprostu centralne zagadnienie wszelkich prac społecznych. Już przed wojną tworzono komplety, w których zbierały się dzieci na naukę polską, której udzielali akademicy i inteligentniejsi rzemieślnicy. Ale wtedy było nauczanie języka polskiego zabronione, policja śledziła uczących i nakładała na nich kary pieniężne.

Zmieniło się po wojnie. Artykuł 113 konstytucji weimarskiej zapewnia mniejszościom narodowym te same prawa co Niemcom, gwarantuje im też pielęgnowanie mowy ojczystej w szkole. Polacy dążą wytrwale do osiągnięcia tych praw w praktyce. W tym celu powstaje w Berlinie Związek Polskich Towarzystw Szkolnych, który stale pertraktuje w tej sprawie z pruskiem Ministertswem Oświaty. Poczynania Związku nie są jednak uwieńczone należytym wynikiem. Nie wprowadzono w szkołach nauki języka polskiego dla dzieci polskich. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych przystąpił więc do zakładania kursów języka polskiego. Nauka na tych kursach odbywa się w godzinach popołudniowych i wieczornych. Ale nie wszystkie miasta wynajęły na ten cel sale szkolne. Kursy odbywały się więc często w salach wynajętych od zakonnic, prywatnych instytucyj, nierzadko nawet były to sale zebrań przy restauracjach, najmniej nadające się do celów nauczania. I w tym wypadku nie obywało się bez szykan, n. p. przyjeżdżał czasem lekarz szkolny, wymierzył salę i orzekł, że ze względów zdrowotnych nie nadaje się ona do celów szkolnych. Na tej podstawie cofnięto Polakom prawo nauczania, a ponieważ odpowiedniej sali w szkole dać nie chciano, wolność nauczania często sprowadzona została do fikcji.

Druga trudność tkwiła w tem, że emigracja polska w Niemczech nie posiadała sił nauczycielskich. Próby sprowadzenia nauczycieli z Polski zawiodły, gdyż konsulaty w Polsce odmawiały im wiz na wjazd do Niemiec. Uczyły więc na kursach siły miejscowe: studenci, urzędnicy biur Związku Polskich Towarzystw Szkolnych. W Westfalji, gdzie kolonij polskich jest najwięcej, emerytowany kierownik szkoły ś. p. Kostencki zorganizował roczny kurs pedagogiczny dla inteligentniejszych górników i rzemieślników, którzy po ukończeniu tego kursu z wielkiem powodzeniem zajmowali się nauczaniem dzieci.

Wielką trudność przedstawia tak zorganizowane nauczanie i dla samych dzieci. Chodzą przecież do szkoły niemieckiej; pięć godzin przedpołudniowej nauki w szkole, rozmaite dodatkowe zajęcia, odrabianie lekcyj, a potem dwie godziny języka polskiego wpływają przecież na przemęczenie dzieci. Jeśli się zaś zważy, ze w większych miastach żyją Polacy rozproszeni po wszystkich dzielnicach i niejedno dziecko musi godzinę jechać tramwajem, aby się dostać na kurs języka polskiego, to naprawdę podziw ogarnia człowieka, gdy patrzy na te objawy poświęcenia. Nie wszyscy też nauczyciele niemieccy wykazują dość zrozumienia dla nauki języka polskiego, niektórzy wprost zabraniają dzieciom chodzić na te lekcje lub dokuczają tym dzieciom, które uczą się po polsku; to też często dzieci skradają się poprostu na lekcje, uważając pilnie, aby przez nikogo nie były widziane. W najlepszym wypadku chodzi dziecko na kurs języka polskiego dwa razy w tygodniu. Jeśli więc przeciwstawimy 4 godziny języka polskiego na kursie 30 godzinom niemieckim w szkole, będziemy mieli obraz jak niedostateczną jest ta nauka języka polskiego.

Mimo tych trudności Związek Polskich Towarzystw Szkolnych zdziałał w tej dziedzinie bardzo wiele. Najlepiej wykażą nam to cyfry statystyczne. W roku szkolnym 1926/27 istniały 32 kursy, na które uczęszczało 1342 uczniów, w roku szkolnym 1933/34 już 113 kursów z 3672 uczniami.

Inaczej przedstawia się sprawa na Śląsku. Na podstawie art. 105 i 114 Konwencji Genewskiej z dnia 15 maja 1922 r. mają tam Polacy prawo do państwowych mniejszościowych szkół. W roku szkolnym 1927/28 istniało na Śląsku 33 takich szkół, do których uczęszczało 659 uczniów. Nauczycielami w tych szkołach są Niemcy niedostatecznie władający językiem polskim. W Akademji Pedagogicznej w Bytomiu wprowadzono naukę języka polskiego dla tych kandydatów, którzy zamierzają uczyć w szkołach mniejszościowych. Szkoły te nie spełniają jednak swego zadania. Nauczyciele uczą po polsku w ten sposób, że raczej ośmieszają wszystko to, co polskie, przyświeca im bowiem tendencja, by przez szkołę mniejszościową wynarodowić powierzoną ich opiece dziatwę. Szkoły mniejszościowe nie spotykają się z uznaniem ze strony ludności polskiej. Polacy wyrażają na zebraniach niejednokrotnie uwagę, że jeśli mają istnieć takie szkoły polskie, to lepiej, żeby ich wogóle nie było. Nic więc dziwnego, że frekwencja w tych szkołach upada. W roku szkolnym 1932/33 było już tylko 24 państwowych szkół mniejszościowych z łączną liczbą dzieci 254. Polacy wolą za przykładem emigracji dokształcać dzieci swe na prywatnych kursach języka polskiego.

Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa na Pograniczu. Tam do r. 1929 wogóle nie było mowy o nauczaniu polskiem. Mimo nalegania ze strony Polaków pruskie Ministerstwo Oświaty nie śpieszyło się z wykonaniem art. 113 konstytucji weimarskiej. Dopiero od czasu, jak Niemcy rozpętały sprawę mniejszościową na terenie genewskim, występując stale w roli czynnika atakującego, doszły do przekonania, że ataki ich znajdą żywy odźwięk na terenie międzynarodowym dopiero wtedy, jeśli Niemcy zdobędą się na koncesję dla mniejszości polskiej. Tą koncesją była ordynacja szkolna z 31 grudnia 1928 r. Na podstawie tej ordynacji mogą Polacy od 1 kwietnia 1929 r. zakładać w Prusach prywatne szkoły polskie i sprowadzać z Polski nauczycieli, którzy uczyliby w tych szkołach.

W maju 1929 r. powstały na Pograniczu pierwsze szkoły polskie. Było ich zrazu 8 z 258 uczniami, w roku szkolnym 1933/34 jest ich już 60 z 1678 uczniami. Szkoły te cieszą się naprawdę poparciem i względami ludności polskiej. Zaczynają wnet promieniować na środowisko, a wizytujący te szkoły radcy z pruskiego Ministerstwa Oświaty w raportach swych wyrażają się jaknajpochlebniej o pedagogicznych i metodycznych zdolnościach nauczycieli z Polski. Ale ludność niemiecka, podżegana przez czynniki nacjonalistyczne, widzi w tem nowe niebezpieczeństwo i w prasie niemieckiej rozlega się krzyk, że niemieckie kresy wschodnie zostały oddane na łup polonizacji. Władze niemieckie zaczynają bacznie obserwować nauczycieli polskich, w nauczycielach niemieckich, którzy w rozroście prywatnego szkolnictwa polskiego widzą dla siebie groźną konkurencję, mają oddanych donosicieli. O ile więc nauczyciel polski zajmuje się nietylko szkołą, ale interesuje go środowisko i życie społeczne rodaków, odmawia mu się prawa na pobyt i wydala jako „lästiger Ausländer" do Polski. O przywiązaniu ludności polski do szkoły najlepiej zaświadczy fakt, że tych wydalonych nauczycieli odprowadza procesją do granicy. Zdarzały się też wypadki napadów na nauczycieli polskich, pobicia ich, demolowania ich mieszkań. Cierpi też miejscowa ludność polska, która zależna jest od junkrów pruskich.

Wreszcie dochodzi do aresztowania nauczyciela p. Bauera. Ukarany został za zdradę stanu, bo wysyłał młodzież polską do uniwersytetu ludowego w Dalkach pod Gnieznem. Ludność miejscowa zakupiła 12 mszy na intencję jego uwolnienia. I mimo, że radca z pruskiego Ministerstwa Oświaty, wezwany na świadka, zeznał, że działalność Bauera odbyła się w ramach prawa, Bauer został skazany.

Zw. Polskich Towarzystw Szkolnych wydaje dwumiesięcznik pedagogiczny „Poradnik Nauczycielski", w którym współpracują nauczyciele polscy. Pismo jest utrzymane na poważnym poziomie i wykazuje, że w polskiem szkolnictwie mniejszościowem na Pograniczu realizują się swoiste poczynania wychowawcze i metodyczne.

Wspomniałem już powyżej, że po wojnie utracili Polacy w Niemczech warstwę intelegencji, która wyjechała do Polski. Polacy w Niemczech dążą do stworzenia nowej intelegencji. Nieliczni akademicy biorą udział w pracach społecznych, pewna część młodzieży studjuje na wyższych uczelniach w Polsce. Dopóki Polacy nie posiadali swego gimnazjum, wysiłki w tym kierunku nie mogły dać spodziewanego wyniku. Młodzież studująca w szkolnictwie średniem niemieckiem, zapoznawała się przedewszystkiem z kulturą niemiecką, wobec nastrojów panujących w Niemczech nie dowiadywała się niczego pochlebnego o kulturze polskiej, a w swoim bezpośredniem zetknięciu się z Polakami nie napotykała na elitę polską. Musiało się więc obudzić w niej poczucie pośledniości, które było pierwszym stopniem do wynarodowienia się tej młodzieży. Polacy w Niemczech poznali, że dopóki nie będą mieli własnego szkolnictwa średniego, młodzieży tej nie uratują. W r. 1932 nastąpiło długo oczekiwane otwarcie pierwszego gimnazjum polskiego w Bytomiu.

Z powyższego widzimy, że Polacy w Niemczech, mimo ciężkich warunków, w jakich żyją organizacyjnie posuwają się stopniowo naprzód. Zdają sobie jednak sprawę z tego, że to co zrocili, jest zaledwie małą cząstką. Mamy w Niemczech około 130.000 dzieci polskich w wieku szkolnym, z tych według statystyki z 1933 r. zaledwie 4,5% korzysta z nauki języka polskiego, czy to w szkołach mniejszościowych, czy na kursach językowych.

Wielką pomocą dla Polaków w Niemczech są kolonje wakacyjne, jakie się co roku urządza w Polsce dla dzieci polskich z Niemiec. Nasi rodacy w Niemczech są nam naprawdę bardzo wdzięczni za tę gościnność. Dzieci wracające z kolonij opowiadają rodzicom swym z entuzjazmem o wrażeniach, jakie wywieźli z Polski, a rodzicom nieraz łza szczęścia spływa z oczu, że dzieci ich oglądały kraj rodzinny, do którego powrócić sami już utracili nadzieję.

Nauczycielstwo w kraju nawiązuje kontakt z nauczycielstwem polskiem zagranicą

Przy Zarządzie Głównym najpoważniejszej organizacji nauczycielskiej w Polsce, Związku Nauczycielstwa Polskiego, który liczy 45 000 członków, powstała 17 listopada 1933 r. Komisja Pomocy Nauczycielstwu Pracującemu Zagranicą. Komisja zamierza nieść pomoc bratnim organizacjom nauczycielskim na terenach zagranicznych oraz pośrednio przez placówki oświatowe podtrzymywać polskość wśród młodego pokolenia polskiego na wychodźtwie.

Wyżej wspomniana Komisja podjęła dotychczas szereg prac. Ponieważ z okazji Zjazdu Polaków z Zagranicy spodziewany jest również przyjazd nauczycieli polskich, Komisja pragnie wykorzystać ich pobyt w Polsce, by pogłębić ich wiadomości i metody pracy. W tym celu organizuje w lipcu kurs wakacyjny o charakterze społeczno-oświatowym. Kurs zostanie urządzony w Augustowie, ponieważ teren tamtejszy, obfitujący w lasy i jeziora, nadaje się nietylko do skupienia wewnętrznego, ale pozatem może być wykorzystany jako miejsce wypoczynkowe.

Aby sobie zdać sprawę z warunków życia na emigracji, Komisja ogłosiła konkurs na pracę p. t. „Rodzina polska na obczyźnie jako środowisko wychowawcze". Materjał zebrany tą drogą zostanie po opracowaniu przez socjologów polskich opublikowany, by jaknajszersze warstwy społeczeństwa zapoznały się z warunkami życia na wychodźtwie. Ustalono szereg nagród: I 300 zł, II 250 zł, III 200 zł, IV i V 150 zł i kilka nagród po 75 zł.

Komisja nawiązała kontakt z organizacjami nauczycielstwa polskiego zagranicą, przesyłając im książki i czasopisma pedagogiczne oraz służąc poradą w sprawach zawodowych. W kraju współpracuje z takiemi organizacjami jak Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy, Instytut Gospodarstwa Społecznego, Instytut Spraw Społecznych, Liga Morska i Kolonjalna.

Komisji zależy bardzo na tem, aby duchowo zbliżyć wszystkich Polaków, rozsianych po całej kuli ziemskiej. Zainteresowanie jej zwraca się przedewszystkiem na szkołę, wszak w skład jej wchodzą nauczyciele. Z tego też powodu podjęła Komisja akcję pośredniczenia w wymianie korespondencyj, albumów, książek, pomocy i t. p. między szkołami krajowemi a szkołami polskiemi zagranicą. Po informacje należy zwrócić się wprost do Komisji (Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie 35). *L. B.*

* * *

Program
wakacyjnego kursu społeczno-oświatowego dla nauczycielstwa pracującego zagranicą

1. Zagadnienia ideologiczne Związku Nauczycielstwa Polskiego w Polsce — 3 godz.
2. Nowy ustrój i nowe programy w szkolnictwie polskiem — 3 godz.
3. Najnowsze kierunki pedagogiczne i ich zastosowanie w oświacie pozaszkolnej—4 godz.
4. Psychologja młodzieży i jej konsekwencje pedagogiczne — 4 godz.
5. Propaganda — 8 godz.
6. Momenty charakterystyczne pracy oświatowo-kulturalnej na emigracji — 6 godz.
7. Metodyka zaznajamiania się ze środowiskiem — 3 godz.
8. Sztuka żywego słowa — 4 godz.
9. Dzieje emigracji polskiej, jej stan obecny i polska polityka emigracyjna — 3 godz.
10. Zagadnienia kolonjalne i eksportowe — 5 godz.
11. Synteza polskiej polityki zagranicznej — 3 godz.
12. Frontem ku młodzieży — 12 godz.
13. Organizacja bibljotekarstwa i czytelnictwa — 3 godz.
14. Światowy Związek Polaków — 1 godz.

* * *

Wielki Konkurs
na prace o środowisku wychowawczem dziecka polskiego na obczyźnie

Komisja Pomocy Nauczycielstwu Polskiemu Pracującemu Zagranicą przy Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie ogłasza w streszczeniu konkurs na napisanie pracy pod tytułem: „Rodzina polska na obczyźnie jako środowisko wychowawcze".

Zagadnienia, które powinny być poruszone w monografji:

Miejscowość.

Skąd (z jakiej części Polski) pochodzi rodzina.

Kiedy wyemigrowała z Polski. Z jakich przyczyn (czy z własnej inicjatywy, czy ściągnięci przez kogoś przebywającego na emigracji, czy zwerbowani w ojczyźnie i t. p.)

Miejsce zamieszkania (miasto miasteczko, wieś, osada fabryczna. Jeżeli miasto, centrum czy przedmieście).

Mieszkanie. Ilość i wymiar izb. Dom w jakim mieszkają. Ogrzewanie, oświetlenie, umeblowanie, higjena, estetyka.

Przyjaciele, znajomi, towarzysze pracy — czy są Polakami, krajowcami.

Małżeństwa członków rodziny zawarte na emigracji — z Polakami, czy z krajowcami. Jaka jest opinja rodziny o tych sprawach.

Co wiedzą o Polsce (prezydent, ustrój, sytuacja gospodarcza, dane statystyczne, stosunki polityczne z krajem zamieszkanym przez rodzinę, historja, kultura, bogactwa naturalne, krajobraz).

Czy interesują się tem, co się dzieje w Polsce w różnych dziedzinach. Czy rozmawiają między sobą o Polsce, wypytują się o nią świeżo stamtąd przybyłych, czytają polskie gazety i książki, słuchają radja z Polski.

Organizacje polskie w środowisku. Ich liczebność i zadania. Stosunek członków rodziny do tych organizacyj (do jakich należą, jakie funkcje w nich pełnią).

Osobistości w środowisku, które mają największy wpływ moralny na rodzinę.

Projekty na przyszłość (czy mają zamiar zostać na obczyźnie, czy też wrócić do Polski, albo wysłać tam dzieci. Jak to zamierzają zrealizować.

Co myślą o kraju, w którym mieszkają, co o nim wiedzą (anal. do Polski).

Czy żałują wyjazdu z Polski, czy też radzi są z tego kroku. Jak to uzasadniają.

Jaki % Polaków zamieszkuje w danem środowisku. Jakie zawody uprawiają.

Język panujący w domu. Stopień opanowania obcego języka.

Jak dzieci wyobrażają sobie swoją przyszłość.

Do jakiej szkoły chodzą. Ich upodobania i uzdolnienia.

UWAGI:

1. Powyższy wykaz zagadnień ma służyć nie jako ankieta, czy kwestonarjusz (nie należy więc traktować poszczególnych punktów, jak pytań), ale jako plan charakterystyki obranej rodziny
2. Należy opracować tylko jedną, najlepiej sobie znaną rodzinę, o ile możności od dość dawna przebywającą na emigracji.
3. Podany spis zagadnień nie wyczerpuje wszystkich możliwych spraw — autor charakterystyki może więc od siebie poruszyć zagadnienia inne, o ile je uzna za ważne.
4. Nie jest konieczne opracowywanie wymienionych zagadnień w podanej kolejności — o ile autor ułoży je w inną logiczną całość, może wedle niej wykonać swoją charakterystykę.
5. Rękopis winien być czysty i czytelny.

Pozatem Komisja nie krępuje piszących żadnemi zastrzeżeniami.

Do konkursu stanąć mogą nauczyciele, działacze oświatowi i społeczni, dziennikarze, urzędnicy, bądź też sami rodzice i opiekunowie. Praca musi zawierać przynajmniej 30 stron pisma maszynowego, albo 60 stron czytelnego rękopisu, a nie więcej niż 150 stron maszynowego lub 200 stron czytelnego rękopisu.

Pracę należy zaopatrzyć odpowiedniem godłem i przesłać ją w kopercie pod adresem Komisji Pomocy Nauczycielstwu Polskiemu Pracującemu Zagranicą — Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie 35 — Związek Nauczycielstwa Polskiego. W drugiej oddzielnej kopercie należy nadesłać zgłoszenia na konkurs podając właściwe swoje nazwisko, dokładny adres oraz godło, jakie sobie piszący obrał.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31. grudnia 1934 r

Komisja Pomocy Nauczycielstwu Pracującemu Zagranicą powoła odpowiedni Sąd Konkursowy, złożony ze specjalistów wychowawców, który oceni i nagrodzi wybitne prace przesłane na konkurs.

Przewidziane są następujące nagrody:

I nagroda zł. pol. 300.00
II nagroda zł. pol. 250.00
III nagroda zł. pol. 200.00
oraz 2 nagrody po 150 zł. 300.00
5 dalszych nagród po zł. 75.00 każda.

Ponadto niektórzy autorzy mogą być wyróżnieni przez sąd konkursowy.

Komisja zastrzega sobie prawo ogłoszenia odpowiednich prac drukiem we własnym zakresie bez specjalnego dalszego odszkodowania.

Ze względu na to, że zagadnienie, na które ogłasza się konkurs, jest niezmiernie doniosłe dla wychowania młodego pokolenia na obczyźnie i że problem ten zupełnie nie jest zbadany, Komisja zachęca działaczy społecznych na emigracji oraz wszystkich tych, komu jest drogie młode pokolenie, a którzy swoją pracą mogliby ewentualnie przyczynić się do oświetlenia tego doniosłego zagadnienia, do wzięcia licznego udziału w konkursie.



Wydawnictwo 15-lecia Ziemi Przemyskiej wśród rodaków na obczyźnie

Jeden z członków Zarządu P. B. K. Okręg Przemyśl — otrzymał na zamieszczony w wydawnictwie projekt pomnika kopca o historycznych wymiarach im. Marszałka Piłsudskiego — dziesięć dolarów am. od Ks. Dr. Jana Suchos, prezydenta Stowarzyszenia Polaków wznoszących kopiec im. W. Wilsona w Blossburgu, Pennsylvania, Stany Zjedn. Ameryki Półn. — oraz deklarację od P. Zygmunta W. Romaszkiewicza, prezesa Kolonji Polskiej w Brissbann, Queensland, Australja, że corood rozpoczęcia aż do ukończenia budowy wysyłać będzie po funcie szterlingów.

Oto podniosły przykład zgodnego rytmu serc wychodźtwa polskiego na obydwóch półkulach świata.

Gród przemyski może się poszczcić, że jego atmosfera zrodziła myśl wyrażenia dziejów w wymiarach pomnika — kopca, którego dorywcze opracowanie zamieszczone w 15-leciu, wymagające jeszcze pewnych uzupełnień, jednakże spotkało się z dużem zainteresowaniem.

Racjonalna propaganda

W pracy naszych urzędów zagranicznych istnieje cały szereg spraw zbyt drobnych, żeby niemi zajmowały się oficjalne czynniki, mogących mieć jednak duże znaczenie w ogólnym wysiłku propagandowym.

Są to sprawy, związane z życiem towarzyskiem i pracą społeczną placówek polskich zagranicą: gwiazdki dla dzieci, dobroczynne imprezy, organizowane przez miejscowy korpus dyplomatyczny, jak np. loterja fantowa. Personel urzędu wysyła co roku swoim znajomym, rozsianym po świecie, setki życzeń noworocznych. Na różnych przyjęciach stół musi być nakryty obrusem lub serwetkami, a menu wypisane na ozdobnej karcie. Wydatki na te drobiazgi są przewidziane w budżecie urzędu zagranicznego bez względu na ich pochodzenie.

Komitet Propagandy przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych postawił sobie za zadanie, żeby wszystkie te rzeczy pochodziły z Polski i utrzymane były na odpoiwednim poziomie artystycznym, stając się przez to propagandą polskiej kultury i wytwórczości. W granicach kraju praca Komitetu polega na ułatwianiu korpusowi dyplomatycznemu zaznajamiania się z przejawami naszej kultury.

Ostatnio Komitet ogłosił konkurs otwarty, na którym wyróżnione zostały projekty p. Wandy Telakowskiej, p. Manteuffla, p. Jana Józefiaka, p. Stefanji Halpern i innych.

30 dziennikarzy polskich z Zagranicy na II Zjeździe

Jak donosi Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy, z okazji II Zjazdu Polaków z Zagranicy przybędzie do Polski przeszło 30 dziennikarzy polskich z zagranicy. Będą oni podejmowani przez Komisję Prasowo-Propagandową II Zjazdu Polaków z Zagranicy, która organizuje dla nich m. in. specjalną wielką konferencję prasową w Warszawie. Na konferencji tej omówiona będzie sprawa kontaktu prasowego polskiej prasy krajowej z polską prasą na obczyźnie. Z przybywających na Zjazd dziennikarzy należy wymienić: red. J. Przydatka — prezesa Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Ameryce, red. K. Leczyckiego z Buenos Aires w Argentynie, red. M. Kwiatkowtkiego z Lens we Francji, J. Łangowskiego z Niemiec, T. Katelbacha z Litwy, St. Knauffa z Rumunji, W. Ihnatowicza z Łotwy i W. Kożucha z Danji. Przewidywany jest również przyjazd licznych przedstawicieli prasy polskiej z Czechosłowacji.

Ruch emigracyjny w maju 1934 r.

W ciągu miesiąca maja r. b. wyjechały przez Syndykat Emigracyjny do Argentyny, Brazylji, Chile, Kanady, Paragwaju, Stanów Zjednoczonych, Urugwaju, Francji, Belgji i innych krajów transporty emigrantów w liczbie 1.044 osób.

Obchód 3-go Maja w Rumunji

Do dzisiaj jeszcze nadchodzą z najdalszych ośrodków polskich na Bukowinie sprawozdania z imponującego przebiegu święta 3-go Maja, w którem brało niemal wszędzie żywy udział społeczeństwo rumuńskie. W organizowaniu święta współdziałała ze Związkiem Stowarzyszeń Polskich Sekcja Oświaty Pozaszkolnej przy Polskim Związku Szkolnym, rozsyłając odpowiednie materjały, a w razie potrzeby i prelegentów. W samych Czerniowcach na całość obchodu złożyło się: uroczyste nabożeństwo w kościele parafjalnym, pochód do „Domu Polskiego", w którym odbyło się przedstawienie dziecięce pod hasłem „Dziatwa polska w dniu 3-go Maja", przyjęcie u pp. konsulostwa Uzdowskich dla przedstawicieli kolonji polskiej, duchowieństwa, władz i wojskowości rumuńskiej, oraz uroczysta akademja, zorganizowana przez Sekcję Miłośników Sceny. Obchód tegoroczny przewyższył znacznie poprzednie, zarówno rozmiarami, jak i żywiołowym udziałem całej Polonji, która, mimo powszedniego dnia, stawiła się niezwykle licznie.

30-lecie „Dziennika Polskiego" w Detroit

Trzydzieści lat temu, w r. 1904 ukazał się w Detroit, w stanie Michigan, pierwszy numer „Dziennika Polskiego". Było to pierwsze polskie pismo codzienne w Detroit. Założyli je ludzie prości, polscy robotnicy, w większości Kaszubi. Nadając mu nazwę „Dziennik Polski", dali najbardziej oczywisty dowód swej polskości i przynależności do wielkiej rodziny narodu polskiego. Założycieli było dwunastu: ks. Fr. Muelle, Michał Domzalski, August Schornack, J. Welzand, Aleksander Lemke, August Stieber, Józef Goike, Antoni Goike, Antoni Skoczek, Jan Jagłowicz, Józef Burzyński, Franciszek Olejniczak — wszyscy z Pomorza, z okolic Pucka, Gdyni i Gdańska.

„Dziennik Polski" od chwili ukazania się pierwszego numeru spełniał wytrwale swą rolę informatora o życiu Polonji w Detroit i całego wychodźtwa.

Otwarcie bibljoteki polskiej w Toledo

W Toledo (stan Ohio), w dzielnicy polskiej Lagrange, dzięki usilnym staraniom tamtejszej Polonji, otwarta została filja bibljoteki publicznej. Polacy zwrócili się przytem do zarządu bibljoteki z żądaniem, by w nowopowstałej filji powiększono zapas książek w języku polskim. Żądanie to spotkało się z przychylnym stosunkiem ludności amerykańskiej, czego dowodem jest przytoczona poniżej opinja miejscowego dziennika anglo-amerykańskiego „Toledo Blade":

„Książki polskie są skarbnicą literatury, historji, biografji sztuk pięknych i muzyki, wobec czego winny one być udostępnione osobom polskiego pochodzenia, mieszkającym w obrębie nowej filji bibljoteki publicznej".

Wskutek ograniczeń immigracyjnych i braku pracy w Stanach Zjednoczonych, osiedla obcojęzyczne i pisma powoli znikają z amerykańskiego horyzontu, lecz w Toledo są jeszcze tysiące dobrych obywateli, którzy najlepiej rozumią i szanują drukowane słowo w języku polskim.

Huculi nad morzem

Przed kilku dniami bawiła w Gdyni wycieczka Teatru Huculskiego z Żabiego, zorganizowana przez Towarzystwo Przyjaciół Huculszczyzny w Warszawie, który dał tutaj kilka przedstawień. Grano dwie sztuki: „Huculscy Zbójnicy“ i „Noc Świętojańska“ w układzie i pod reżyserją zdolnego autora huculskiego, Stefana Korybutiaka.

Huculi zabawili w Gdyni kilka dni, podejmowani przez tutejszy Komisarjat Rządu. Wycieczce towarzyszyli pp. Kierownik Domu Żołnierzy w Warszawie Kpt. Strzelecki i szef wydziału Propagandy Krajowej Kpt. Dypl. Juljusz Kozolubski.





Pierwsze przedstawienie zaszczycili swą obecnością miejscowi przedstawiciele władz oraz pp. Gen. Górecki i Gen. Kordjan-Zamorski.

W czasie kilkodniowego pobytu w Gdyni huculi zwiedzili Hel i wybrzeże. W najbliższym czasie poświęcimy Huculszczyźnie kilka artykułów, w celu zapoznania naszych czytelników z zakątkiem kraju, wysuniętego na najdalej południowo-wschodnie krańce Polski.

Obecnie podajemy kilka interesujących zdjęć z Teatru Huculskiego.

U góry:
Hucuł i hucułka z Zabiego

Obok:
Stefan Korybutiak
rezyser i autor sztuk granych przez „Teatr Huculski"



U góry: Teatr Huculski z Żabiego w porcie rybackim na Helu

U dołu: Zespól teatralny podczas pobytu w Warszawie



Puszcza Białowieska

Puszcza Białowieska, jako objekt przyrodniczy, jest unikatem w Europie. Jest to jedyny w środkowej i zachodniej Europie kompleks lasu na niżu, który zachował się w formie naturalnej, pierwotnej.

Aby utrzymać fragment tego pierwoboru, Administracja Lasów Państwowych wydzieliła obszar 46 km^2 (z całego obszaru puszczy 1200 km^2), wyłączając go — jako Park Narodowy — od wszelkiej gospodarki. Ma on służyć nietylko jako muzeum pierwotnej przyrody puszczy, lecz w równym rzędzie jako warsztat pracy badawczej dla leśnika i przyrodnika.

Park z natury swego położenia nie zdołał objąć wszystkich ciekawych i i godnych widzenia osobliwości puszczy. Wydzielony został szereg mniejszych rezerwatów, które go uzupełniają: dla ochrony krajobrazu puszczańskiego obrzeża dróg, wiodących do Białowieży z Hajnówki i Prużan o łącznym obszarze 19 km^2, pierwotny las sosnowy we wszystkich normach pod Białym Laskiem na powierzchni 3 km^2, zwierzyniec żubrzy w rezerwacie o 3 km^2 obszaru, zabytkową wysepkę jodły na Nikorze o obszarze 1 km^2 i wreszcie stanowisko rzadkiej rośliny północnej — zimozioła na powierzchni $2\frac{1}{2}$ ha.

Pozatem na obszarze puszczy chroni się długi szereg drobniejszych pomników przyrody w postaci okazałych czy rzadko spotykanych drzew czy krzewów, wiele pamiątek zamierzchłych, bliższych i ostatnich dziejów, któremi są drzewa, krzyże, mogiły, kurhany, ruiny, legendami osnute uroczyska, drogi, głazy.

Dla przyjęcia zwiększających się coroku rzesz turystów (ostatnie lata — do 16 tysięcy rocznie) istnieją w parku pałacowym trzy schroniska na 100 miejsc z wygodnemi i taniemi (1,50 zł.) noclegami oraz kasyno, zapewniające aprowizację. Przewodnictwo należy do obowiązków personelu, zarówno parku, jak innych rezerwatów. Ostatnim aktem udostępnienia puszczy dla ruchu turystycznego jest wprowadzenie ruchu osobowego na kolejce leśnej według trasy, umożliwiającej w ciągu około 5 godzin objazd 80 km puszczy i zapoznanie z jej ciekawemi zakątkami.

Dla pracowników naukowych na terenie parku i puszczy urządzone zostało przez Instytut Badawczy Lasów Państwowych Laboratorjum Biologiczne w Białowieży, w którem narazie czynna jest pracownia bakterjologiczno-łowiecka, obsługująca hodowlę żubrów i zwierzostan puszczy.

Na puszczy, przykładzie tego bezcennego fragmentu państwowej posiadłości leśnej, występuje wyraziście rola Administracji Lasów Państwowych w zakresie ochrony przyrody leśnej. Ogółem utrzymuje Administracja Lasów Państwowych 75 objektów leśnych o obszarze łącznym blisko 300 km^2, które wyłączone są od gospodarki leśnej i służą jako Parki Narodowe i rezerwaty, jako żywe muzea, warsztaty badawcze nad nieskrępowaną przyrodą i ośrodki zdrowia, wytchnienia i tych bezcennych wrażeń, jakie daje ludziom dzisiejszych czasów obcowanie z pierwotną przyrodą. Jako najważniejsze objekty wymienimy: Park Narodowy w Tatrach — 90 km^2, Park Narodowy w Pieninach — 7 km^2, Park Narodowy na Czarnohorze — 15 km^2, rezerwaty na Górze Babiej i Baraniej: po 4 km^2, Park Narodowy „Puszcza Jodłowa" im. Żeromskiego — 11 km^2, Park Natury im. Mickiewicza nad jeziorem Switeź — 6 km^2, Wielkopolski Park Narodowy pod Poznaniem — 5 km^2, rezerwat jodłowy Jata pod Łukowem — $3\frac{1}{2}$ km^2, rezerwat pierwotnego lasu mieszanego pod Grajewem „Grzędy" — 4 km^2, lasy cisowe pod Tucholą na na Pomorzu i pod Kołomyją na Pokuciu — 18 i 40 ha, Kępa Redłowska pod Gdynią — $1\frac{1}{2}$ km^2, wielkie rezerwaty dla ochrony łosia na Polesiu i Augustowskiem po 20 km^2, szereg rezerwatów dla ochrony bobrów, czapli, łabędzi i szereg innych drobniejszych.

W pierwszych latach administracji lasami państwowemi, wobec wielu zadań, związanych z unormowaniem i uporządkowaniem gospodarki, na łowiectwo zwracano mniej uwagi, wskutek czego za ten okres brak dokładnych danych.

Po wojnie pozostały w lasach niedobitki zwierzyny, nękane w dalszym ciagu przez kłusowników, zaopatrzonych w broń i amunicję wojskową. Począwszy dopiero od r. 1926/27 stan zwierzyny zaczyna się stopniowo podnosić, a gospodarka łowiecka poprawiać. W r, 1930 opracowano zasady planowej opieki nad zwierzyną w lasach Dyrekcji, a w szczególności w Puszczy Białowieskiej, mające na celu wskrzeszenie jej dawnych tradycyj łowieckich.

Obecnie stan zwierzyny na terenie Puszczy Białowieskiej przedstawia się następująco: Jelenie — 540, sarny — 3150, dziki — 740, zające — 2500, rysie — 50, wilki — 40, lisy — 420, borsuki — 170, głuszce — 1000, cietrzewie 750.

Wyniki polowań reprezentacyjnych nie dosięgają cyfr, przewidzianych normalnym planem odstrzału i stan zwierzyny przy stosowaniu nadal racjonalnej hodowli nietylko nie ulega redukcji, lecz polepsza się pod względem ilościowym.

Na terenie Nadleśnictwa Zwierzyniec w Puszczy Białowiejskiej urządzony jest zwierzyniec dla żubrów o powierzchni 50 ha. Hodowlę zapoczątkowano w jesieni 1929 r.

Stan żubrów przedstawia się następująco:

zakupiono . . .	7	sztuk
przychówek . .	13	„
razem	20	sztuk
ubyło	6	„
stan obecny . .	14	sztuk

Do stałej opieki nad żubrami przeznaczono trzech dozorców, którzy na zmianę przebywają w zwierzyńcu. Nadzór nad zwierzyńcem i utrzymaniem żubrów powierzono łowczemu, Opiekę lekarską spełnia lekarz weterynaryjny, prowadzący pracownię bakterjologiczno-łowiecką w Białowieży. Jako karmę otrzymują żubry siano, owies i buraki.

* * *

Schronisko w Białowieży

Wobec licznego napływu wycieczkowców, w r. 1931 zostało otwarte w Białowieży schronisko turystyczne. Schronisko to znajduje się na terenie parku pałacowego i posiada wszelkie wygody, jak: wodociągi, centralne ogrzewanie oraz oświetlenie elektryczne. Trzy sale z odpowiednią obsługą, mieszczące 100 łóżek, zapewniają turystom wygodny nocleg.

Koszty pobytu w schronisku wynoszą od osoby na dobę: nocleg — łóżko z całkowitą pościelą 1,50 zł., nocleg — łóżko z materacem i prześcieradłem 0,70 zł., usługa 0,20—0,50 zł.

Przybywające do Białowieży wycieczki spotyka na stacji kolejowej delegat Parku Narodowego. Do wycieczek zbiorowych przydzielany jest bezpłatny przewodnik. Przepustki do Parku Narodowego, do zwierzyńca żubrzego i karty wstępu do muzeum wydawane są w schronisku.

Ciekawa wystawa w Płocku



W pierwszej połowie maja odbyła się w Płocku bardzo ciekawa wystawa, poświęcona głównie życiu Polaków zagranicą, której zadaniem było przedstawienie społeczeństwu płockiemu wyników osiągniętych w dziedzinie współpracy z Polakami na obczyźnie, oraz zachęcenie do rozszerzenia i pogłębienia prowadzonej akcji.

Inicjatorem i organizatorem wystawy był prof. harcmistrz Kulesza Wacław, którego wydajnie poparło całe społeczeństwo płockie, oraz naczelne instytucje w kraju.

Protektorat nad wystawą objęła Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy, finansowo poparła Liga Morska i Kolonjalna, a organizacją zajął się specjalny komitet, na czele którego stanął Prezes Koła Przyjaciół Harcerstwa — Prokurator S. O. Władysław Szczyciński.

Wystawa posiadała sześć działów:

Pierwszy: „Polacy Zagranicą" obejmował cały szereg wyczerpujących wykresów, map i bardzo ciekawych zdjęć.

Drugi: Zawierał oryginalny dział egzotyczny, w którym mieściły się również bardzo ładne akwarele z Parany p. Stefana Łosia.

Trzeci: najważniejszy, to: Współpraca Młodzieży Płockiej z Polakami na Obczyźnie. Czego w tym dziale nie było; listy otrzymane z obczyzny, przedmioty uzyskane w drodze bezpośredniej wymiany, staranne wykresy, przedstawiające wyniki osiągnięte w dziedzinie współpracy i pomocy Polaków zagranicą, książki przeznaczone do wysłania, nasiona dla Parany i wiele, wiele innych ciekawych rzeczy.

Czwarty dział zebrał całą światową polską prasę. Piękna mapa czerwonemi plamami wskazuje, gdzie jakie pismo wychodzi. A dokoła okazowe egzemplarze, było ich bardzo dużo.

Piąty dział zbiorowy zawierał eksponaty Ligi Morskiej i Kolonjalnej, „Opieki Polskiej", specjalnie przysłanych wydawnictw „Les Amis de la Pologne" i t. p.

Jako *szósty* dział figurowała w prospekcie wzorowa świetlica, której całkowite urządzenie będzie, po uzupełnieniu, wysłane do jednej z polskich kolonij w Paranie.

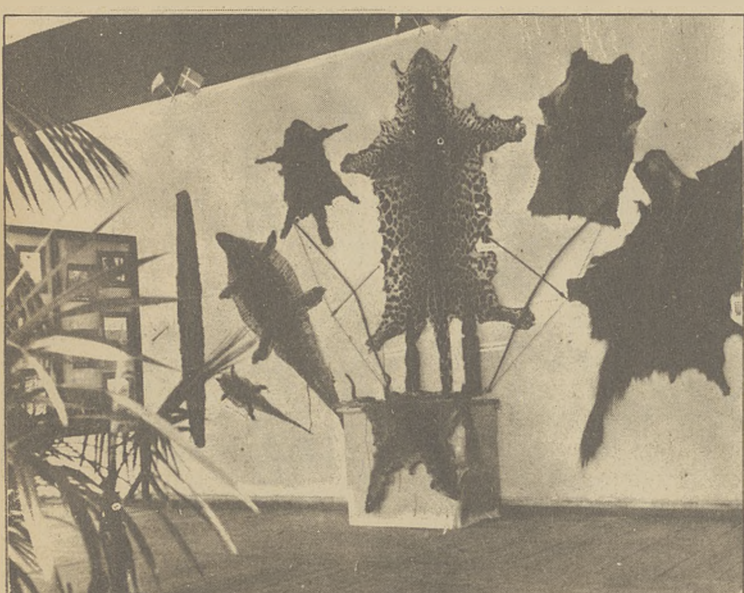
Podczas otwarcia wystawy przemawiało wiele osób; jako pierwszy, naczelnik Langrod imieniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

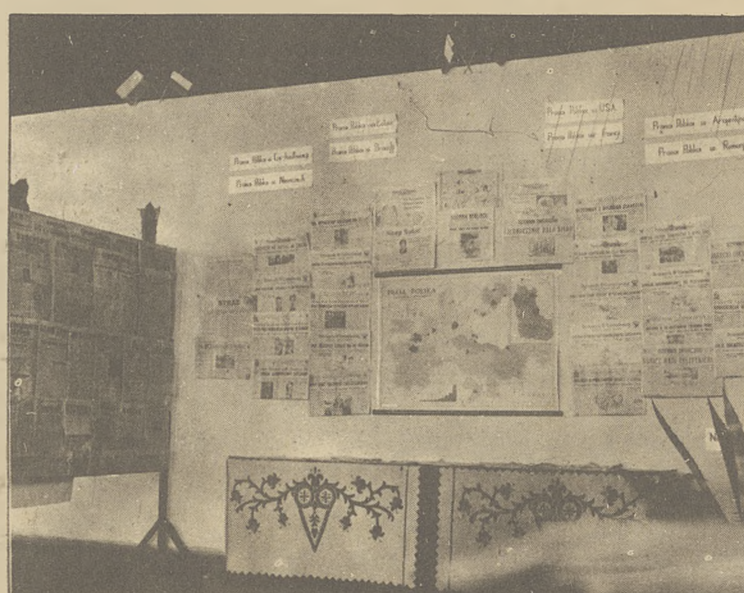
Przedstawiciele Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, Ligi Morskiej i Kolonjalnej, oraz Harcerstwa również przyłączyli się do ogólnego głosu mówców, podkreślających celowość i umiejętność zorganizowania wystawy.

W czasie trwania wystawy zwiedziło ją wiele osób, najwięcej młodzieży, która widząc osiągnięte przez innych rezultaty, sama też zapragnęła przystąpić do tej pięknej akcji.

A o to chodziło organizatorom.

Płocczanin





E. Baranowski

Wyścig o błękitną wstęgę Atlantyku

Pomimo ogólnego narzekania na ciężkie czasy, potężne linje okrętowe prowadzą nadal wytrwale wyścig o pierwszeństwo przebycia Atlantyku w jaknajkrótszym czasie.

Historja tej walki przedstawia się dość ciekawie.

W r. 1897 błękitną wstęgę Atlantyku zdobywają statki angielskiego Towarzystwa Cunard-Line „Campania" i „Lucania", po 13 000 tonn i 31 000 HP, osiągnąwszy szybkość 22 węzłów na godzinę.

Rozwijająca się w szybkiem tempie handlowa flota niemiecka, przy wybitnem poparciu państwa, staje również do tego wyścigu, słusznie rozumując, że po zwycięstwie morskiem nad Anglikami zdobędzie sobie popularność i pasażerów. A więc już w tym samym roku szybkobieżny statek północno-niemieckiego Lloydu „Kaiser Wilhelm der Grosse" o pojemności 14 500 tonn, wydziera pierwszeństwo Anglji, bijąc parostatki Cunard Line'u średnio o pół węzła. Cały świat zaczyna odtąd pilnie i ciekawie śledzić poczynania niemieckie na morzu.

Następny statek niemiecki „Kaiser Friedrich", który chce się pokusić o pierwszeństwo, nie może dorównać swemu „starszemu bratu". To uspokaja Anglików, którzy przygotowują się intensywnie do dalszego wyścigu. Jednakże nowy statek niemiecki „Deutschland", spuszczony na wodę w r. 1900, o wyporności 16 000 tonn i sile maszyn 36 000 HP, przebywa Atlantyk z szybkością 23,5 węzła, ustanawiając nowy rekord szybkości. Niemcy, zachęcone powodzeniem, budują dalej parowiec „Kronprinz Wilhelm" a po krótkim czasie dwa jeszcze większe „Kaiser Wilhelm II" i „Kronprinzessin Cäcilie" o pojemności 20 000 tonn, sile maszyn 40 000 HP i szybkości 23,5 węzła każdy. Statki te, swą wygodą i taniością, zdobywają sobie coraz więcej pasażerów. Przyczynia się to w dużej mierze do wzrostu dobrobytu i potęgi Niemiec.

Ten nagły wzrost potęgi morskiej Niemiec wzbudził obawę i czujność admiralicji angielskiej, która w związku z tem pomaga towarzystwu Cunard-Line uzyskać pomoc państwa. Anglja buduje dwa olbrzymy: „Maurytanię" i „Lusitanię". W roku 1906, wkrótce po spuszczeniu na wodę, przebywa „Maurytania" ocean z szybkością 26 węzłów, bijąc dotychczasowe rekordy niemieckie i zdobywając temsamem błękitną wstęgę Atlantyku, którą posiada do r. 1929. Mniej szczęśliwa „Lusitania" została w czasie wojny zatopiona przez niemiecką łódź podwodną.

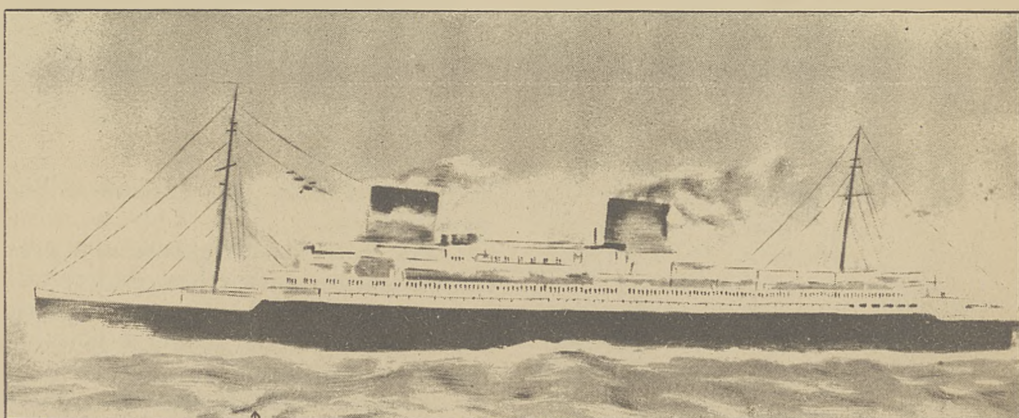
„Maurytania" jeszcze przy końcu swej chwały przebywa ocean z szybkością 27,2 węzłów, przepływając przestrzeń z Cherbourga do Nowego Jorku w 4-rech dniach, 21 godz. i 44 minutach.

Zwyciężone Niemcy zaczynają po wojnie znowu systematycznie rozbudowywać swą flotę handlową, dążąc do osiągnięcia potęgi przedwojennej. Spuszczono na wodę dwa potężne statki „Bremen" i „Europę", każdy po 50 000 tonn, 130 000 HP. i o szybkości 28,5 węzłów na godzinę. „Bremen" z miejsca odbiera dumnym Anglikom błękitną wstęgę, przebywając ocean o 4 godziny prędzej od „Maurytanii". Po odpowiednich przeróbkach „Bremem" poprawia w r. 1932 swój własny rekord i przepływa ocean w ciągu 4-ch dni, 15-tu godzin i 56-ciu minut.

Teraz znowu „Europa" wydziera pierwszeństwo „Bremen'owi" bijąc jego rekord o 40 minut.

„Europa" dzierży zatem dotychczas błękitną wstęgę Atlantyku. Jednakże niewiadomo czy ją długo jeszcze utrzyma w swem posiadaniu. Teraz bowiem i Francuzi zaczynają zabierać głos i wykończają „największy i najszybszy okręt świata" „Normandie". „Normandie" ma mieć pojemność 75 000 t. i szybkość 30 węzłów na godzinę. Przypuszczalnie więc będzie musiała „Europa" przed nim skapitulować.

A więc wyścig o błękitną wstęgę Atlantyku trwa dalej.



Statek niemiecki „Bremen"

Statek niemiecki „Europa"





W ubiegłym tygodniu powróciła z Leningradu (Rosja Sowiecka) pierwsza polska wycieczka morska zorganizowana przez Linję Gdynia—Ameryka i sowieckie biuro podróży „Intourist“. Na zdjęciach naszych widzimy przystań pasażerską „Intourista“ w Leningradzie podczas przybycia polskiego statku s/s „Warszawa“ i komisarza portu w Leningradzie p. Jakimowa w czasie rozmowy z intendantem statku „Warszawa“, p. Altschuelerem. *(Fot. Wójcikiewicz)*



Przyjaźń z tygrysem

K. L.

Zdarzenie prawdziwe

W połowie kwietnia 1897 r., po drodze z Dalekiego Wschodu do Odessy, zawitał do Singapore statek rosyjski „Tambow". Agent Floty Ochotniczej zawiadomił kapitana statku, że prócz ładunku kopry i drzewa figowego, otrzyma na pokład posażera. Pasażerem tym był wspaniały tygrys bengalski, ofiarowany przez jakiegoś maharadżę carowi rosyjskiemu. Rzeczywiście, w dniu odpłynięcia statku, ustawiono na przednim pokładzie masywną klatkę z ogromnym i bardzo pięknym tygrysem.

Mieliśmy pomiędzy załogą marynarza, który na widok tak osobliwego pasażera ucieszył się bardzo i zaczął się nim opiekować, okazując mu wiele życzliwości a nawet i pewnego rodzaju pieszczot, tak jakby to był jakiś miły kotek. Zauważył to starszy oficer i wobec tego przydzielił marynarza jako stałą opiekę nad tygrysem.

Hawryił Kurhanow, pochodzący z głębi Rosji, odznaczał się ogromnym wzrostem i nadludzką wprost siłą. Był pozatem, jak to zwykle bywa u olbrzymów, nadzwyczaj dobrodusznym, poczciwym, i bardzo uczynnym względem kolegów. Objąwszy bardzo chętnie obowiązki „tygrysiego opiekuna", odrazu zaczął je spełniać z całem zamiłowaniem. Zaraz pierwszego dnia, podczas karmienia, gdy nie szczędził zwierzęciu dużych kawałów mięsa, zauważył, że tygrys ma skaleczoną przednią łapę, najprawdopodobniej zranił się w pułapce, która przed kilku dniami pozbawiła go wolności.

Kurhanow, długo nie namyślając się, udał się do lekarza okrętowego:

— Daj no mi, Bohdan Stanisławicz, lekarstwa dla mego wychowanka.

— Dla jakiego wychowanka? — zdziwił się lekarz.

— No jakżeż to, nie wiesz dla jakiego? — dla mego tygrysa. Skaleczył on sobie gdzieś mocno łapę, więc trzeba go leczyć.

— Dobrze! Ale chodźmy obejrzyć tego twego „wychowanka". — zaproponował lekarz.

Poszli. Lecz nie łatwo było dokonać oględzin. Tygrys, przy zbliżeniu się kogokolwiek do klatki, rzucał się jak szalony i tłukł się o grube pręty klatki.

Lekarz długo oglądał tygrysa, szukając rany, a kiedy wkońcu zauważył ją i przypatrzył się jej dobrze, wrócił do okrętowej apteki. Kurhanow nie odstępował go ani na krok.

— Jakżeż ty, Kurhanow, będziesz leczyćswego „wychowanka", skoro on rzuca się jak warjat i może cię pokaleczyć?

— O to już się ty, Bohdan Stanisławowicz, nie bój, już ja sobie dam z nim radę i wyleczę — odezwał się spokojnie Kurhanow. Kurhanow wziął dość długi patyk, uwiązał na końcu spory kawał waty i po zwilżeniu jej lekarstwem czekał, kiedy tygrys, w czasie swego szalonego rzucania się po klatce, zbliżył się na dostateczną odległość i wtedy zaczął przez kratę dotykać jego rany.

Kurhanow, w czasie tych zabiegów lekarskich, przemawiał zazwyczaj do tygrysa:

— No — czego skaczesz? Przecież ja chcę ci dobrze zrobić, ja chcę cię wyleczyć a ty „głupaja tigra" warjujesz?!

Drugiego dnia Kurhanow smarował ranę jeszcze przy pomocy pendzla, ale tygrys już coraz mniej się rzucał. Widocznie zwierzę zrozumiało, że ten duży człowiek, który wczoraj i dziś przynosi mu pokarm i jakimś płynem, uśmierzyjącym ból, smaruje mu ranę, nie chce mu wyrządzić krzywdy lecz zmniejszyć cierpienia i osłodzić pobyt w niewoli.

W trzecim czy czwartym dniu zauważyliśmy, że Kurhanow smaruje ranę tygrysa trzymając watę w palcach, tygrys zaś leży spokojnie i jakgdyby podstawiał bolące miejsce.

Minęło kilka dni. Rana się zagoiła zupełnie a tygrys, jakgdyby odwdzięczając się swemu opiekunowi za okazaną mu opiekę, pozwalał się głaskać po głowie i grzbiecie. Gdy jednak popróbował zbliżyć się do klatki kto inny niż Kurhanow, tygrys nadal ryczał i rzucał się jak szalony.

Minął jakiś czas i węzły „tygrysiej przyjaźni" z Kurhanowym coraz bardziej się zacieśniły. Marynarz kładł się teraz spać na pokładzie obok klatki. Tygrys był z tego widocznie bardzo zadowolony, gdyż wysuwał często z poza krat swoją łapę i obejmował nią Kurhanowa. Tak spali nieraz spokojnie całemi nocami — poczciwy człowiek i dziki zwierz.

Jak dalece tygrys przywiązał się do Kurhanowa, świadczy następujący wypadek, który zdarzył się na pokładzie „Tambowa":

Którejś nocy marynarzowi wypadła wachta. Przed zmianą podchodzi do klatki pełniący służbę marynarz i budzi Kurhanowa.

— Dobrze — powiada Kurhanow, lecz kiedy popróbował wstać, łapa tygrysa przycisnęła go mocno do krawędzi klatki. Położywszy się z powrotem, Kurhanow poczuł, że tygrys zwolnił uścisk i położył mu łagodnie łapę na piersi. Nie było innej rady jak pozostać przy nim.

O północy, po wybiciu dzwonu, zjawia się koło klatki trzymający wachtę marynarz i zgorszony tem, że Kurhanow jeszcze leży, powiada:

— Kurhanow, cóż to, do licha, już czas na ciebie a ty śpisz?

Na głos marynarza odezwał się z klatki głuchy pomruk a Kurhanow zaproponował:

— Zdejm ze mnie łapę mego przyjaciela, to pójdę na wachtę. Widzisz, że „tigra" niechce mnie od siebie puścić.

Marynarz sprowadził bosmana, lecz i ten nie mógł nic poradzić, gdyż nikt nie miał ochoty dostać się w łapy tygrysa. Obudzono więc na wachtę innego marynarza, a Kurhanow pozostał przy swoim dzikim przyjacielu.

Po przybyciu do Odessy rozeszła się po mieście wieść, że „Tambow" wiezie, podarowanego przez maharadżę „batjuszce carju", tygrysa. Całemi dniami przychodzili ciekawi oglądać popisy Kurhanowa z tygrysem i obdarzali odważnego marynarza rublami.

Jednakże nie trwało to zbyt długo. Po kilku dniach zjawiło się trzech carskich służących, całych obszytych czarnemi orłami i zabrali tygrysa do Moskwy. Klatkę załadowano do specjalnego wagonu i doczepiono do pociągu pospiesznego. Kurhanow nie odstępował tygrysa do ostatniej chwili i czule się z nim pożegnał, gładząc go po głowie. Tygrys lizał mu z wdzięczności ręce.

Kurhanow odszedł. Jednakże już po krótkim czasie zjawił się znowu jeden ze służby z poleceniem, ażeby marynarz towarzyszył im do Moskwy, gdyż tygrys skacze po klatce jak szalony i obawiają się, że rozniesie klatkę i ucieknie.

Kurhanow został odkomenderowany do Moskwy. Tygrys po jego ukazaniu się odrazu sie uspokoił, lecz Kurhanow musiał odbyć drogę z nim razem, nie odstępując ani na krok od klatki.

Po kilku dniach Kurhanow wrócił z Moskwy, obdarzony przez cara srebrnym zegarkiem, na którego kopercie wyryto carskiego orła. A w Moskwie, w zwierzyńcu carskim, pozostał biedny dzikus, tęskniąc zapewnie w niewoli za swym opiekunem i przyjacielem...

»Lotnik nieprzyjacielski nad Gdynią«

Wspaniała impreza »Tygodnia Lotniczego« nad polskiem morzem

Ubiegła niedziela w Gdyni minęła pod znakiem Tygodnia Lotniczego. Całe miasto tonęło w biało-czerwonych barwach chorągwi narodowych i biało-żółtych flag Ligi Obrony Powietrznej Państwa.

Od rana na ulicach poczęły się gromadzić tłumy publiczności, które z zaciekawieniem przyglądały się modelowi szybowca, ustawionego pod masztem na Skwerze Kościuszki, i przygotowaniom do popisów obrony przeciwgazowej.

O godz. 11-ej na placu przed dworcem ustawiły się oddziały Zw. Strzeleckiego, Kolejowego Przysposobienia Wojskowego, P. W. Kobiet, organizacyj harcerskich, Zw. Rezerwistów, drużyny L. O. P. P., drużyny obrony przeciwgazowej Czerwonego Krzyża, M. Z. E., Urzędu Morskiego i in.

W kilka minut po godz. 11-ej na plac zbiórki przybył Dowódca Obrony Wybrzeża komdr. dypl. Frankowski, Komisarz XI Tygodnia Lotniczego, dokonywując przegląd oddziałów. Następnie przed gmachem poczty przy ul. 10-go Lutego w obecności tłumów publiczności dokonano odsłonięcia pomnika, przedstawiającego wbitą w ziemię 1000 kg bombę lotniczą, mającą przypominać wszystkim o grożącem niebezpieczeństwie nieprzyjacielskiego nalotu.

W chwilę później Skwer Kościuszki otoczyły ze wszystkich stron tłumy ciekawych, utrzymywane przez karne szeregi organizacyj, a w pierwszym rzędzie Zw. Strzeleckiego, wyróżniającego się swą dzielną żołnierską postawą. Z napięciem obserwowano pokaz obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, który był punktem kulminacyjnym całego tygodnia.

Na wzniesieniu zajęli miejsca przedstawiciele władz: Komisarz Rządu mgr. Sokół, Wicekomisarz Rządu inż. Szaniawski, Dowódca Obrony Wybrzeża kmdr. dypl. Frankowski, Prokurator de Tournelle, Naczelnik Karwowski i wielu innych.

Zdaleka rozległ się charakterystyczny warkot samolotu i po chwili na horyzoncie ukazała się sylwetka „nieprzyjacielskiego" aeroplanu.

„Lotnik nieprzyjacielski" zniżywszy się prawie do wysokości domów, rzucił kilka markowanych bomb gazowych, które poczęły pękać na trawnikach Skweru Kościuszki i na balkonach domów. Dzięki świetnej organizacji i technice, pękające bomby robiły wrażenie prawdziwych pocisków lotniczych i w jednej chwili kłęby gęstego dymu i huk wybuchów zamieniły plac miejski na pole prawdziwej walki.

Przeciągły gwizd syren zaalarmował drużyny przeciwgazowe. Przed „płonący" dom zajechał błyskawicznie pierwszy samochód Zawodowej Straży Pożarnej i po chwili wśród kłębów dymu na olbrzymiej drabinie ukazały się figury strażaków w złotych hełmach, w maskach i dziwacznych strojach przeciwgazowych. Efektowna akcja ratownicza, akrobatyczne manewry strażaków, wspinających się i spuszczających po linach z piątego piętra, budziły zachwyt licznie zebranych widzów.

W momencie, gdy z okien „płonącej" kamienicy spuszczać poczęto na linach i w specjalnych workach osoby cywilne, a nawet zachwycone niecodziennem widowiskiem dzieci, w tłumie rozległy się głośne oklaski.

Tymczasem lotnik, zniżywszy się, rzucił znowu kilka pocisków, które pękając z ogłuszającym hukiem, pokryły cały plac gęstą powłoką gazów. Ze wszystkich stron poczęły nadjeżdżać samochody z groźnemi czarnemi tabliczkami, na których biała czaszka wskazywała na śmiertelne niebezpieczeństwo zagazowanych miejsc. Dziwne postacie w impregnowanych strojach iperytowych, w maskach, olbrzymich rękawicach i ciężkich drewnianych bucikach wychodzić poczęły z aut ciężarowych, przygotowując prędko skomplikowany aparat najbardziej nowoczesnego odkażania.

GDYNIA — Komisarz rządu mgr. Sokół przemawia podczas odsłonięcia pomnika-bomby przed pocztą gdyńską



Na szczególne wyróżnienie zasługuje drużyna OPG. Urzędu Morskiego, która użyła aparatu „Mira“ do odkażania plamy iperytowej na asfalcie.

Podkreślić tu należy świetną organizację całej imprezy, której kierownikiem był rtm. Kopaczyński, instruktor obwodowy Komitetu Morskiego L.O.P.P.

Doskonała postawa i sprawność drużyn OPG. dały pełną gwarancję, że Gdynia posiada już dobrze zorganizowany aparat ratowniczy, który w razie potrzeby może stanąć do walki z największem niebezpieczeństwem naszego wieku — wojną gazową.

Naogół niezmiernie ciekawe imprezy Tygodnia Lotniczego wykazały ogromny twórczy wysiłek Komitetu Morskiego L.O.P.P. w dziedzinie obrony przeciwlotniczo-gazowej wybrzeża.

Tam — gdzie leży przyszłość naszej młodzieży

Oto znów nadchodzi koniec roku szkolnego: młodzież z ostatniej klasy otrzyma tak bardzo upragnioną maturę, a młodsi uczniowie i uczenice przejdą do następnej klasy, aby się zbliżyć jeszcze o jeden rok do tego samego końcowego celu.

Chwila ta niewątpliwie radosna, przysłania ją jednak zmora przyszłości, i to bliskiej dla tych, którzy już wkrótce będą musieli szukać jakiejś pracy zarobkowej, a nieco dalszej, lecz nie mniej groźnej dla tych, którzy zamierzają poświęcić się wyższym studjom. Nadprodukcja inteligencji o wykształceniu ogólnem, niefachowem, intelegencji skazanej nieraz na dłuższą bezczynność z powodu braku odpowiednich posad, oraz bezrobocie wśród ludzi z wyższem wykształceniem, jakkolwiek fachowem, — oto obraz rzeczywistości, z którym niestety musi się poważnie liczyć nietylko sama młodzież lecz i zainteresowani w jej losie i zań odpowiedzialni rodzice i opiekuni i to musi się liczyć nietylko dzisiaj, ale i przez szereg lat następnych, dopóki problem racjonalnego przygotowania młodych ludzi do życia praktycznego nie zostanie w pełni rozwiązany.

Na szczęście możemy w ostatnich czasach skonstatować pocieszający objaw w postaci szeregu posunięć władz szkolnych, zamierzających do skutecznego rozwiązania tego zagadnienia przez tworzenie i rozwój takich zakładów naukowych, które są zdolne do wypuszczania z ław szkolnych młodzieży, całkowicie przygotowanej do pracy zarobkowej nawet przed 20 rokiem życia i mającej wszelkie szanse otrzymania tej pracy odrazu po opuszczeniu murów tych zakładów.

Mamy na myśli różnego rodzaju szkoły zawodowe. Z pośród nich na całkiem specjalną wzmiankę zasługuje jedyny w Polsce zakład naukowy, poświęcony specjalizacji w handlu morskim, w tym handlu morskim, któremu najbogatsze i najpotężniejsze kraje świata zawdzięczają swój dobrobyt i znaczenie. Zakład ten mieści się w naszem młodem mieście portowem — w Gdyni, która w zeszłym roku zajęła pierwsze miejsce wśród wszystkich portów bałtyckich pod względem obrotów towarowych i przez którą dzisiaj przechodzi zgórą 40 % całego naszego handlu zagranicznego. Nazwa tego zakładu brzmi: 3-letnie Koedukacyjne Liceum Handlowe Izby Przemysłowo-Handlowej w Gdyni.

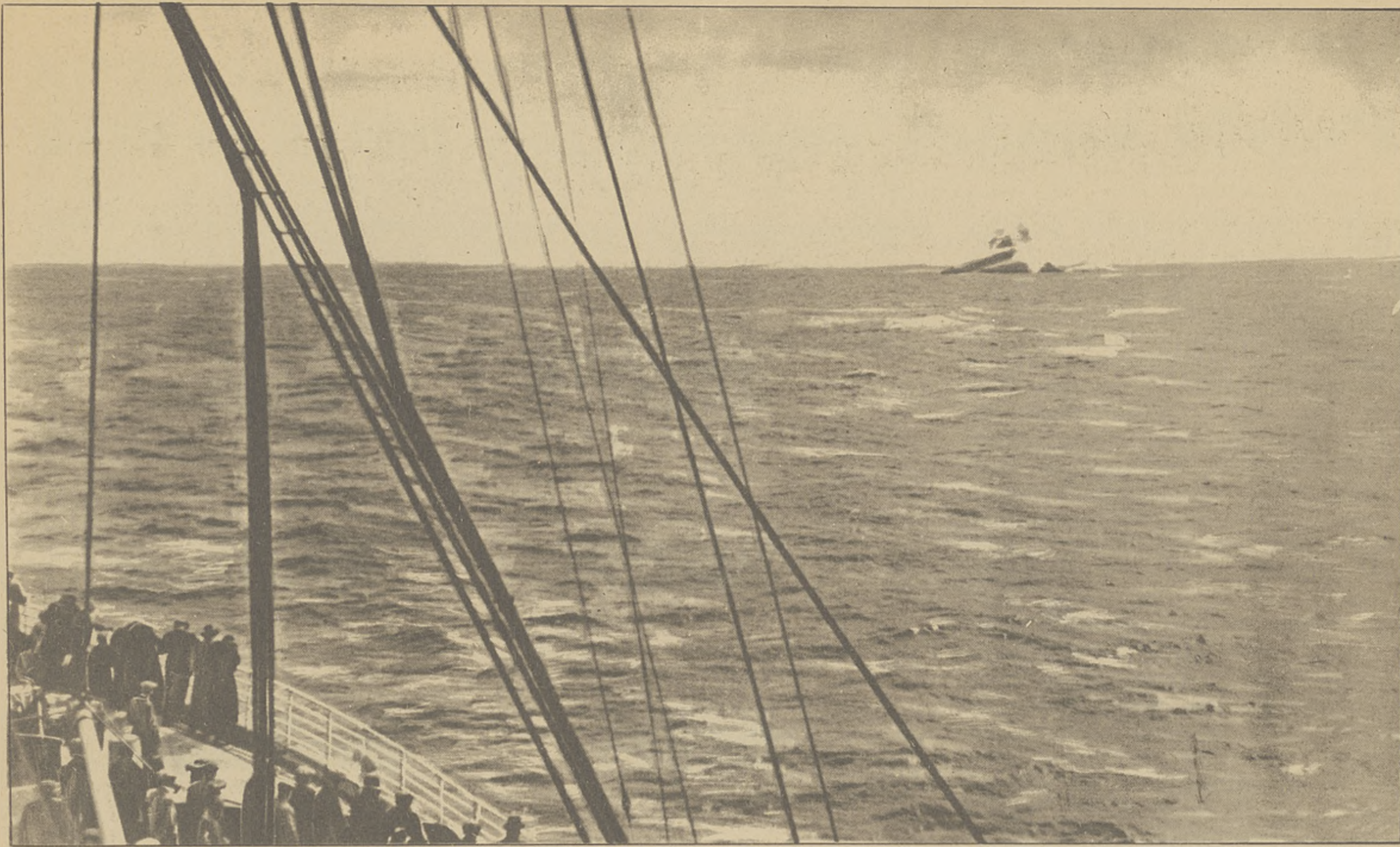
Liceum Handlowe w Gdyni przyjmuje na pierwszy rok nauczania młodzież, mogącą się wykazać ukończeniem 6 klas gimnazjalnych lub też równorzędnych zakładów naukowych. Już po ukończeniu drugiego roku Liceum, uczniowie nabywają wszelkie prawa, wypływające z posiadania matury licealnej. Na trzecim zaś roku Liceum następuje właściwa specjalizacja w handlu morskim, na który mogą być również przyjęci absolwenci innych liceów handlowych w Polsce.

O wszelkich innych ciekawych szczegółach, dotyczących wspomnianego Liceum, dowiedzieć się można z prospektów, które są wysyłane bezpłatnie przez Sekretarjat Liceum Handlowego w Gdyni, ul. Morska 79.

Aleksander Szulc

Gdynia — Gmach w którym mieści się 3-letnie Koedukakcyjne Liceum Handlowe





Z wiosną pokazują się na Oceanie Atlantyckim góry lodowe, zagrażając statkom pasażerskim kursującym na linji Europa—Ameryka Północna. Od takiej góry zginął swego czasu sławny „Tytanik". Ilustracje nasze pokazują spotkanie gór lodowych na Atlantyku przez okręt polski „Kościuszko" udający się z Gdyni do Nowego Jorku. Na pomoście kapitańskim komendant statku kapitan E. Borkowski

(Foto Atlantic)



BOLESŁAW POLKOWSKI

Polski handel zagraniczny przez morze

Wszechwładnie na świecie panujący kryzys w b. znacznym stopniu przyczynił się do uszczuplenia wszechświatowego handlu wymiennego, w tej liczbie również i handlu zagranicznego Polski. Ogólna suma przywozu towarów do Polski, wyrażająca się w roku 1929 sumą 5 miljonów tonn, spadła w roku 1933 przeszło o połowę, a suma wywozu, wynosząca w roku 1929 21 miljonów tonn, spadła w roku 1933 do 13 miljonów. W znaczniejszy jeszcze sposób wyraża się różnica wartości przywiezionych i wywiezionych towarów w latach 1929 i 1933. Wartość przywiezionych towarów spadła z 3 miljardów złotych do 800 miljonów, a wartości wywiezionych towarów z 3 miljardów złotych do 1 miljarda. Jak z tego widać, Polska coraz bardziej ogranicza się w nabywaniu towarów zagranicznych i vicev versa zagranica stawia coraz wyższe barjery celne dla towarów polskich.

Wyniki tranzakcyj towarowych pomiędzy Polską a zagranicą przedstawiają się korzystnie dla Polski i rok ostatni, mimo znacznych ograniczeń wywozu i przywozu, w ogólnym efekcie przyniósł Polsce 133 miljony złotych jako nadwyżkę wartości towarów wywiezionych nad przywiezionemi. Wszystkie kraje europejskie, za wyjątkiem Francji, Szwajcarji, Włoch i w nieznacznym stopniu Węgier, są dłużnikami Polski z tytułu handlu zagranicznego. Kraje pozaeuropejskie, które dostarczają Polsce egzotycznych towarów kolonjalnych, znajdują się na liście wierzycieli.

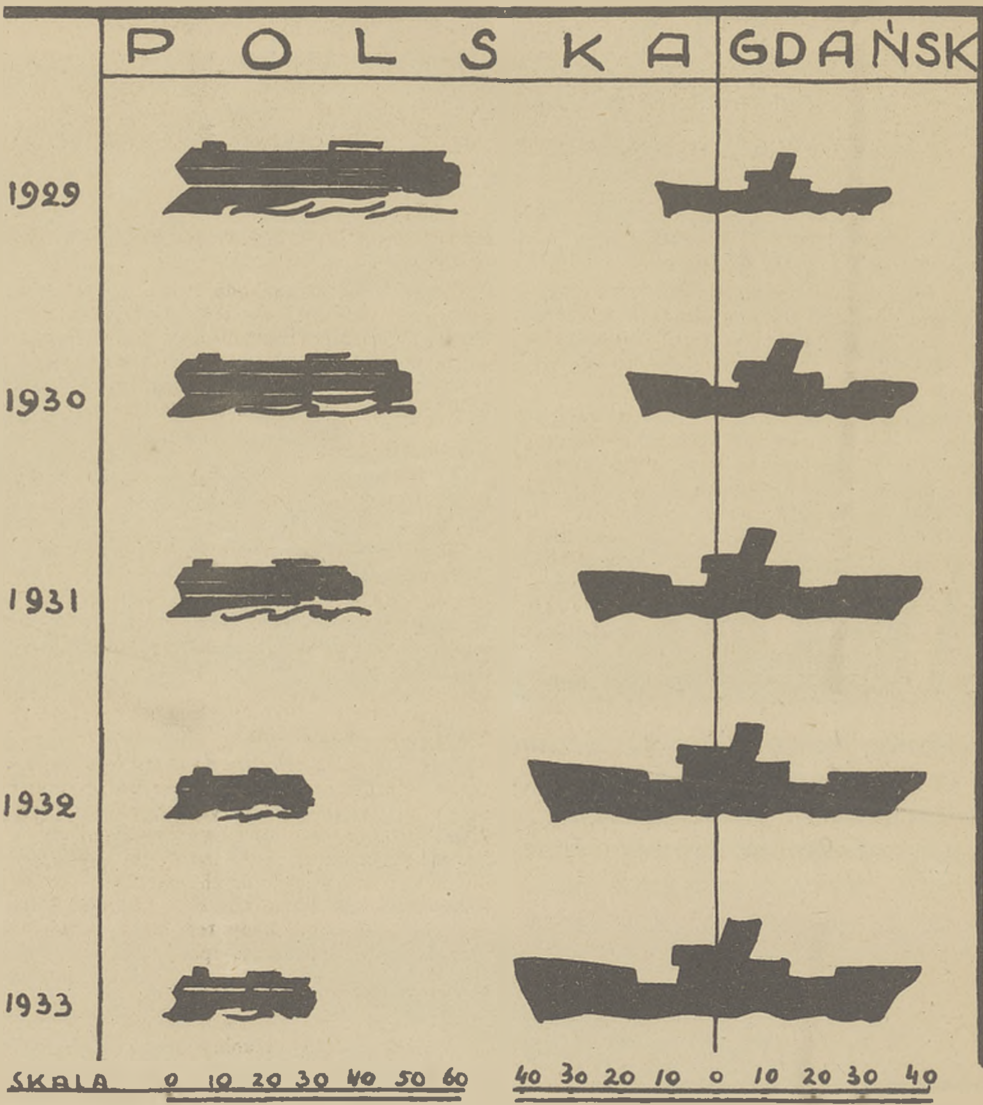
Handel zagraniczny Polski odbywa się przez granice lądowe i przez morze.

Handel drogami morskiemi jest korzystniejszy dla państwa z wielu względów. Jednym z najważniejszych względów jest kwestja tańszego przewozu wodą niż lądem. Drugim bardzo ważnym względem — jest bezpośredniość, to znaczy, że towar unika przeładunku z okrętu do wagonu w obcym porcie i opłacania frachtu kolejowego kolejom obcym, a następnie krajowym.

Korzyści, osiągane przy przewozie towarów drogą morską, w bardzo znacznym stopniu skierowały handel zagraniczny Polski ku morzu. Dwa porty polskie pracują nad przeładunkiem towarów polskich i praca obu portów z roku na rok staje się wydajniejszą.

Gdynia i Gdańsk są to jakby oazy, w których kryzys jest nieznany, bezrobocie prawie nie istnieje, wszystkie warsztaty pracy są czynne, robota wre niekiedy na dwie i trzy zmiany.

Podkreślić należy, że gdy ogólny obrót towarowy z zagranicą spadł o połowę, obrót przez Gdańsk i Gdynię nie zmniejszył się; przeciwnie wywóz przez oba porty wzrósł. Powyżej załączony wykres przedstawia procentowo zmniejszenie się obrotów towarowych przez granice lądowe (z lewej strony — lokomotywy), jednocześnie wzrost obrotów towarowych przez morze (z prawej strony — okręty). Na wykresie tym należy również zwrócić uwagę, w jakim stopniu w ogólnym morskim obrocie towarowym bierze udział port gdyński i port gdański.

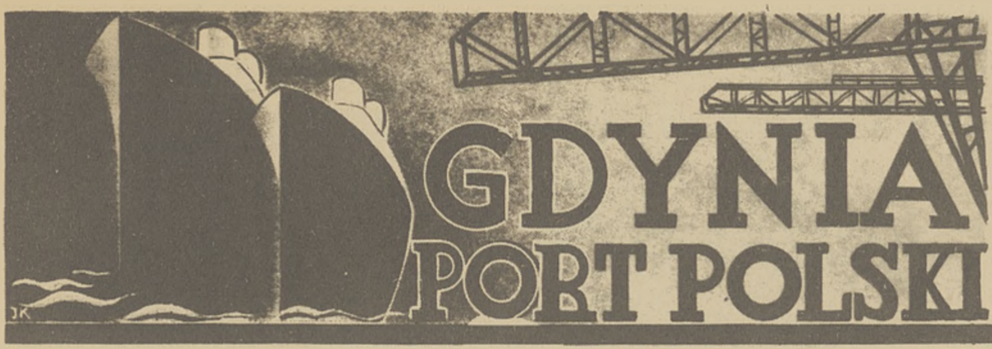


W miarę rozwoju i rozbudowy portu gdyńskiego coraz większe partje towarów skierowywane były ku Gdyni i wreszcie w roku 1933 port gdyński osiągnął rekordową liczbę przeładunku, wynoszącą 6 miljonów tonn (w roku 1929 ogólny obrót przez Gdynię wyniósł $2^1/_2$ miljona tonn).

Obok Gdyni w tranzakcjach handlowych Polski z zagranicą pracuje stary Gdańsk. Port ten jest przez handel zagraniczny Polski całkowicie wykorzystywany i mimo, że handel zagraniczny Polski znacznie się skurczył, obrót towarowy przez Gdańsk nie uległ poważniejszemu zmniejszeniu się. Ostatnio osiągnięto całkowite porozumienie gospodarcze pomiędzy Rzeczpospolitą Polską, a Wolnem Miastem Gdańskiem, na mocy którego Gdańsk jest uprzywilejowany przez Polskę tak samo jak Gdynia, i współpraca obu portów jest na pomyślnej drodze.

Do niedawna Gdynia była portem o charakterze wybitnie wywozowym. Głównemi produktami wywozowemi przez Gdynię są węgiel, drzewo i artykuły spożywcze. Wywóz tych towarów nietylko nie został zahamowany, lecz przeciwnie wzmożony. Charakterystycznem było, że większość statków, zawijajacych do portu gdyńskiego przychodziło pustych — bez ładunku — właśnie po ładunek polskich towarów. Ostatnie dwa lata, a szczególnie rok 1933, sytuację wyraźnie zmieniły. O ile eksport polskich towarów wzrósł o 10%, o tyle import towarów przez Gdynię wzrósł o 100% i wyraża się liczbą 1 miljona tonn dla roku 1933.

Rok obecny przynosi dalszy rozwój ruchu towarowego w porcie gdyńskim i mamy pewność, że w sprawozdaniu naszem za rok będziemy mogli pochwalić się poważnemi rezultatami, nowemi rekordami naszego młodego portu Gdyni.



Rada Eksportowa w Gdyni rozpoczęła swą działalność

W wyniku kilkutygodniowych prac przygotowawczych, dnia 17 bm. nastąpiło utworzenie Rady Eksportowej przy Izbie Przemysłowo-Handlowej w Gdyni i ukonstytuowanie jej tymczasowego prezydjum.

Powołanie do życia Rady Eksportowej nastąpiło w myśl zaleceń Ministerstwa Przemysłu i Handlu, jaknajintensywniejszej pracy w kierunku podniesienia i uaktywnienia eksportu przez wszystkie zainteresowane czynniki.

Rada Eksportowa, jednocząc w swem łonie przedstawicieli firm z terenu działalności Izby, najbardziej zainteresowanej i kompetentnej w sprawach eksportowych, ma za zadanie wydanie opinji, oraz wytycznych dla działalności eksportowej w zapleczu Izby.

Korzystanie z wyników prac Rady będzie udostępnione wszystkim sferom w kraju, zainteresowanym w eksporcie zamorskim.

Do tymczasowego prezydjum Rady weszli: pp. Dyr. Hordyński (Łuszczarnia Ryżu) dyr. Mack (Fabryka krzeseł Gościnino) konsul Dereziński (delegat Państw. Instytutu Eksportowego). Do prezydjum Rady wchodzi również z urzędu Dyrektor Izby P. H. p. Krupski.

Jako organ wykonawczy Rady ma powstać specjalne biuro przy referacie Eksportowym Izby, dla wykonywania prac związanych bezpośrednio z działalnością tejże Rady.

Zadaniem tego biura będzie więc dostarczanie eksporterom niezbędnych informacyj co do techniki eksportu, zapotrzebowań rynków zagranicznych, oraz w poszczególnych wypadkach załatwienie czynności technicznych, związanych z eksportem.

Wchodzić tu będzie w rachubę przedewszystkiem pomoc ze strony biura dla drobniejszych przemysłowców, w szczególności zaś dla rzemiosła.

Już w dniach najbliższych opracowany zostanie regulamin działalności Rady i wytyczne pracy dla jej biura. Izba Przemysłowo-Handlowa posiada już szereg zgłoszeń o informacje z dziedziny eksportowej.

Zebranie Komisji Kwalifikacyjnej dla robotników portowych

Dnia 14 maja br. w sali konferencyjnej Urzędu Morskiego odbyło się pierwsze plenarne posiedzenie Komisji Kwalifikacyjnej pod przewodnictwem p. Nacz. Borkowskiego St. z udziałem wszystkich członków komisji i ich zastępców. Na posiedzeniu tem omawiano ogólne zasady pracy komisji.

Dalsze powiększenie Chłodni Portowej w Gdyni

Przed kilku dniami wykończono i oddano do użytku IV. piętro gdyńskiej Chłodni Portowej. W związku z tem Chłodnia powiększyła obecnie swą powierzchnię składową o 300 m², składającą się z 8 komór przeznaczonych dla magazynowania łatwo psujących się towarów (jaja, masło, ptactwo itd.)

Na wykończeniu znajduje się również V. piętro Chłodni o analogicznych wymiarach.

Z rozszerzeniem magazynów Chłodni otwierają się dalsze możliwości dla eksportu towarów wymagających przy transportach urządzeń chłodniczych i spodziewać się należy, że zainteresowane sfery handlowe udogodnienia te w należyty wykorzystają sposób.

Sprawa rozbudowy węzła kolejowego w Gdyni

Przed kilku dniami odbyła się konferencja delegata Toruńskiej Dyrekcji Kolejowej dyr. Glasa z przedstawicielami koncernów węglowych, w sprawie rozbudowy węzła kolejowego, który obecnie ze względu na silny rozwój portu gdyńskiego jest już niedostateczny.

Święto Morza

Obchód Święta Morza, jak wiadomo, urządzony będzie corocznie w dniach 29 i 30 czerwca oraz 1 lipca.

Ministerstwo spraw wewnętrznych zarządziło zarezerwowanie tych dni wyłącznie dla Ligi Morskiej i Kolonjalnej, która obchód organizuje. W czasie pochodu, prócz akcji propagandowej, przeprowadzana będzie zbiórka na rzecz Funduszu Obrony Morskiej.

Statek „Ewa“ odkrywa nowe tereny połowów morskich

Statek „Ewa“, należący do Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni, użyto do próbnych połowów na wodach przybrzeżnych na głębi gdańskiej i w okolicach wyspy „Bornholm“. Eksperymentalne połowy na głębi gdańskiej dowiodły, że w niektórych okresach można z powodzeniem łowić tam dość znaczne ilości wątłuszy. Niewyzyskany ten teren połowów zaczyna teraz dostarczać sporą ilość tej ryby.

Powrót „Daru Pomorza“

W piątek, dnia 11 bm. przybył do Gdyni po długiej podróży szkolny statek „Dar Pomorza“, przywożąc ze sobą 52 wychowanków szkoły, 11 absolwentów, których w serdecznych słowach powitał p. Dyrektor Państwowej Szkoły Morskiej Komandor Adam Mohuczy. Absolwenci płynęli już jako instruktorzy, im też specjalnie podziękował p. kmdr. za ofiarną pracę podczas ostatniej podróży.

Statek, opuszczając Gdynię w dniu 17 września, płynął po wodach Ameryki Południowej, brzegami Południowej i Zachodniej Afryki przez 236 dni. Spędzając ten czas w drodze z Gdyni do Plymouthu, z Las Palmas do Mindalol, z Paranagui do Los Francisco do Sul, z Cape Town do angolskiego Labitu i wreszcie z Falmounthu zpowrotem do Gdyni, doznali pasażerowie dużo wrażeń i doświadczeń bądź to w miłych przeżyciach morskich, bądź w czasie burz i walki z rozszalałym żywiołem.

Statek „Cieszyn“ kursuje już normalnie

Statek „Cieszyn“ należący do „Żeglugi Polskiej“, który kursuje na linii Gdynia—Gdańsk—Helsingsfors, po ostatniej awarji na wodach fińskich, powrócił już do Gdyni z remontu w stoczni helsingsforskiej.

Remont statku przeprowadzono bardzo dokładnie pod osobistym nadzorem doświadczonego marynarza kpt. Haremzy. Przy tej sposobności uzupełniono „Cieszyn we wszystkie nocwoczesne urządzenia techniczne, tak że dziś śmiało uchodzić on może za jedną z najlepiej wyposażonych jednostek polskiej floty handlowej.

Podniesienie bandery i otwarcie sezonu Yacht-Klubu Polski w Gdyni

Dnia 13 maja br. odbyło się podniesienie bandery Yacht-Klubu Polski, Oddział Morski w Gdyni oraz otwarcie sezonu yachtowego na rok bieżący. Z tej okazji okolicznościowe przemówienie wygłosili Vicekmdr. Klubu P. dyr. Rummel oraz prezes Polskiego Związku Żeglarskiego p. gen. Zaruski.

Na uroczystość tę przybyli specjalnie delegaci Polskiego Klubu Morskiego z Gdańska na własnych yachtach „Olga“ i „Pirat“ oraz dyrektor Stoczni Gdańskiej p. prof. Noe na własnym yachcie „Hoffnung“.

Yacht „Temida I“ wyruszył do północnej Norwegji

Ub. niedzieli po uroczystości podniesienia bandery w Oficerskim Yacht-Klubie, wyruszył z Gdyni w daleką podróż morską yacht „Temida I“, należący do Polskiego Związku Żeglarskiego.

Załoga „Temidy I“ składa się z 23 przedstawicieli różnych klubów żeglarskich. Dowództwo yachtu spoczywa w doświadczonych rękach gen. Marjusza Zaruskiego.

W pierwszym etapie swej podróży „Temida I“ zawinie do duńskiego portu Skagen, poczem skieruje się do jednego z portów północnej Norwegji.

Nadmienić należy, że yacht „Temida I“ ufundowali Związkowi Żeglarskiemu ze swych skromnych składek, urzędnicy sądownictwa polskiego.



W tych dniach odbyło się w Gdyni poświęcenie sztandaru Bractwa Kurkowego. Na fotografji chorąży Bractwa Kurkowego ze sztandarem podczas defilady.



Warszawska komisja zwiedza port gdański

Przybyła do Gdańska komisja ministerjalna z Warszawy dla zdadania i zaznajomienia się z warunkami przeładunku zboża przez port gdański. Komisja zwiedziła m. in. kilka śpichlerzy gdańskich w towarzystwie urzędników Rady Portu, p. radcy Rudzkiego, który przybył również z Warszawy, i p. radcy Zippera, oraz reprezentanta Izby Handlowej w Gdańsku, p. Kroenerta.

Prasa gdańska o umowie portowej

„Danziger Neueste Nachrichten" ogłasza na czołowem miejscu artykuł p. tyt. „Bilans umowy portowej". W artykule tym autor, podając cyfry przewozu za ostatnie 6 miesięcy, usiłuje wykazać, iż nadzieje Gdańska, żywione w związku z zawarciem umowy o wykorzystaniu portu gdańskiego nie zostały przez Polskę spełnione, jednakże nie wspomina o wydatnym wzroście eksportu w tym czasie, który automatycznie rekompensuje mniejszy stosunek w imporcie.

Gdańsk przekreśla pośrednictwo Gdyni na owoce południowe

Firma „Danziger Obst- u. Frucht-Aktiengesellschaft m. b. H. uzyskała z Senatu zezwolenie na owoce południowe. Widocznie chodzi tu o uniezależnienie się od Gdyni, gdzie obecnie koncentruje się handel południowemi owocami.

Generał Górecki w Gdańsku

W sobotę, dnia 12 maja br. odbyło się pod przewodnictwem Gen. Dr. Romana Góreckiego, prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, zebranie komitetu wykonawczego „The British and Polish Bank" w Gdańsku. Na zebraniu był również obecnym Minister Stefan Starzyński.

Łódzka Izba Przemysłowo-Handlowa przeciw zarządzeniom podatkowym Gdańska

W związku z opodatkowaniem przez Gdańsk składów konsygnacyjnych i przedsiębiorstw handlu hurtowego, co w znacznej mierze dotyka interesów polskich eksporterów, Łódzka Izba Przemysłowo-Handlowa, dopatrując się w tem naruszenia umowy polsko-gdańskiej o zapobieganiu podwójnemu opodatkowaniu, zwróciła się do Komisarza Generalnego R. P. w Gdańsku z prośbą o interwencję u Senatu.

Stworzenie sejmu samorządowego w Gdańsku

Jednem z ostatnich zarządzeń Senatu stworzona została nowa instytucja publiczno-prawna, t. zw. sejm samorządowy (Gemeindetag), której zadaniem będzie z jednej strony wydawanie opinji w sprawach samorządowych, a z drugiej strony dawanie wytycznych gminom i związkom gminnym. Członkowie tego „Sejmu" będą przez Senat mianowani.

Uroczystość wręczenia odznak zasłużonym członkom Związku Polaków

W centralnej świetlicy Związku Polaków imienia Tadeusza Hołówki w Gdańsku, odbyło się uroczyste wręczenie przez prezesa organizacji Królikowskiego-Muszkieta odznak kilkudziesięciu zasłużonym działaczom Związku Polaków. Uroczystość rozpoczęła się przemówieniem prezesa Związku, który podkreślił, iż wręczana odznaka nie jest znaczkiem organizacyjnym, do którego ma prawo każdy członek, lecz odznaczeniem, na które trzeba zasłużyć czynną, jednoroczną ciężką pracą w organizacji. Po odczytaniu regulaminu odznaki Związku Polaków w Wolnem Mieście Gdańsku, nastąpiła uroczystość wręczenia odznak, w czasie której prezes organizacji składał gratulacje poszczególnym działaczom, wzywając ich do dalszej wytężonej pracy dla dobra polskości w Gdańsku.

Polskie statki w porcie gdańskim

Do Stoczni Gdańskiej zawitał polski kontrtorpedowiec „Wicher" celem dokonania należytego remontu, który ma się już ku końcowi. W dniu wczorajszym przybył drugi statek polskiej marynarki wojennej „Dar Pomorza" celem dokonania remontu.

50-lecie Towarzystwa Ludowego

W dniu 3-go czerwca b. r. zasłużone Towarzystwo Ludowe w Gdańsku obchodziło uroczystość 50-lecia istnienia. Z okazji tej w dniu tym odbyło się uroczyste nabożeństwo w polskim kościele Chrystusa Króla w Gdańsku, potem w salach Bischofshöhe odbyła się okolicznościowa akademja z przemówieniami i bogatym programem artystycznym.

Walne zgromadzenie Macierzy Szkolnej w Gdańsku

Dnia 17 bm. o godzinie 18,30 w sali Domu Polskiego w Gdańsku odbyło się walne zgromadzenie Macierzy Szkolnej, na którem wysłuchano sprawozdania zarządu i dokonano wyboru nowych członków w miejsce ustępującego zarządu. Prezesem Macierzy Szkolnej został wybrany p. Eryk Budzyński, prezes Dyrekcji Poczt i Telegrafów w Gdańsku. Wybór nowego prezesa jak i innych członków zarządu pozwala żywić nadzieję, iż praca nad rozbudową polskiego szkolnictwa w Gdańsku będzie nadal intensywnie prowadzona.

Kilka liczb z działalności Macierzy Szkolnej w Gdańsku

Jak wynika ze sprawozdania za rok 1933, Macierz Szkolna prowadzi na terenie Wolnego Miasta Gdańska 14 ochronek, 6 szkół powszechnych, 1 szkołę tak zw. średnią, 1 gimnazjum, 1 szkołę handlową, 1 wyższą szkołę handlową, oraz 1 konserwatorjum muzyczne. Wydatki Macierzy Szkolnej na cele szkolne wynosiły w roku 1933 około 700 000 guldenów. Do ochronek uczęszcza 596 dzieci, nad któremi mają kierownictwo siostry Dominikanki (w Gdańsku) i świeckie ochroniarki (na wioskach). Dzięki staraniom naczelnego komitetu opieki nad ochronkami, dzieci mają w ochronkach stałą opiekę lekarską. Dzieci, uczęszczające do polskich szkół senackich, wysyłane są przez Macierz Szkolną w porze wakacyjnej na kolonje wakacyjne do Polski. Do polskich szkół powszechnych uczęszcza 474 dzieci. Ilość uczniów Gimnazjum polskiego w Gdańsku z powodu przeniesienia Dyrekcji Kolejowej do Polski nieznacznie się obniżyła i wynosi obecnie 585 uczenic i uczniów.

Około 600 dzieci polskich z Gdańska wyjeżdża na kolonje letnie do Polski

Jak się dowiadujemy, na apel Macierzy Szkolnej w Gdańsku o umożliwienie niezamożnej polskiej dziatwie z Gdańska spędzenie letnich miesięcy w kraju społeczeństwo polskie odpowiedziało licznemi zaproszeniami. Z ogólnej liczby 600 dzieci, które potrzebują ulokowania na kolonjach, zaproszonych zostało przez różne ofiarne instytucje i osoby tudzież i organizacje społeczne 530 dzieci, tak, iż tylko 70 dzieci oczekuje na zaproszenie do kraju. Jednakże Macierz Szkolna ma nadzieję, że i dla reszty dzieci znajdzie się pomieszczenie w Polsce.

Zakończenie kursu przewodników polskich po Gdańsku

Został zamknięty drugi kurs przewodników polskich po Gdańsku. Kurs ukończyło 16 osób, które otrzymały dyplomy, uprawniające je do oprowadzania wycieczek polskich po Gdańsku.

Wieczory Kameralne w Gdańsku

W miesiącu maju i czerwcu r. b. odbędzie się w sali Polskiego Konserwatorjum Muzycznego cykl 3-ch wieczorów kameralnych, na które złożą się utwory kompozytorów polskich, rosyjskich, francuskich i skandynawskich. Koncerty te w wykonaniu profesorów Polskiego Konserwatorjum Muzycznego w Gdańsku, w których biorą udział:

dyr. Kazimierz Wiłkomirski (wiolonczela)
Zofja Budzyńska (śpiew)
Zdzisław Rosner (skrzypce)
Stanisław Osmołowski (fortepian)

zapowiadają się wspaniale.

Wycieczka studentów warszawskich

Przybyła do Gdańska wycieczka 70-ciu studentów politechniki warszawskiej wraz z 2-ma profesorami i zwiedziła port gdański pod przewodnictwem urzędników Rady Portu inż. Senkpiela i posła na sejm gdański Czarneckiego.

Lekkoatleci „Gedanji" górą

W tych dniach na stadjonie w Gdańsku odbyły się zawody lekkoatletyczne, zorganizowane przez gdański Związek Lekkoatletyczny, mający za zadanie wyłowić ewentualnych kandydatów do grupy treningowej olimpijskiej. W kołach tych startowali również biegacze „Gedanji", przyczem odnieśli w tych konkurencjach, w których brali udział, całkowity sukces. I tak w biegu na 1 500 m, który na starcie zgromadził 30 zawodników, pierwsze, drugie i czwarte miejsce zajęli zawodnicy „Gedanji". Również w biegu na 800 m na 24 startujących do mety doszedł pierwszy zawodnik polskiego klubu.



Fot. Dorys — Warszawa

Kazimierz Wiłkomirski

znakomity wiolonczelista, został zamianowany przez Min. W. R. i O. P. dyrektorem polskiego Konserwatorjum Muzycznego w Gdańsku.

ZDROJOWISKA - LETNISKA

Wyjazd kuracyjny do Piszczan

Informacyj o kuracjach ryczałtowych, paszportach ulgowych itd. udziela ustnie: *Biuro Piszczany, Katowice, Andrzeja 11 — tel. 321.34,* piśmnie: *Biuro Piszczany, Cieszyn, Śrutarska 18.*

Reumatyzm / Ischias / Wysięki

Jastarnia — Bór. — Pensjonat „Pod Banderą". Kuchnia wyborowa, obfita, ceny umiarkowane. — Obiady. Patefon, kajak. — Wiadomość na miejscu.

Myczków Dwór, poczta Ustrzyki, Solina — cudowna okolica górzysta, lasy sosnowe, szumiące kąpiele, wodospad, tennis, siatkówka, radjo, kino, konie, łódki. Doskonały wikt od 3,50 zł.

Letnisko blisko Krakowa w lesie, ślicznej górzystej okolicy. — Rzeka, bridge, swoboda. Życie doskonałe 3,80, dzieci taniej. Poczta Dobczyce, Kędzierzynka, Sztremerowa. Informacje: Kraków, Piłsudskiego 14/3 przedpołud.

Zakopane pensjonat **„Roma"** doktorowej Rzegocińskiej, pięknie położony, pokoje słoneczne z balkonami, kuchnia doskonała — przyjmuje zgłoszenia. Ceny bardzo przystępne.

Morszyn. Chrześcijański pensjonat dietetyczny — „Jaśmin". Ceny niskie. Elektryczność, kanalizacja.

Uciekajcie z dusznych miast nad morze. Jastrzębia Góra — Perła Bałtyku. Pensjonaty „Pilice". Prospekty odwrotnie.

Krynica. Pensjonat dra. Łazarskiego oddaje rodzinom w lecie pokoje z obfitem wykwintnem utrzymaniem po 5 do 7 złotych dziennie od osoby. Żądajcie prospektów.

Poronin. Pensjonat Giewontówka, Marji Koziołówney poleca pokoje słoneczne, werandy, obok las, rzeka, kuchnia smaczna, obfita, ceny przystępne.

Poronin. Willa „Zakrętówka", położona przy rzece i lesie, poleca pokoje z utrzymaniem. Ceny niskie.

Niemirów-Zdrój, słynne kąpielisko siarczano-borowinowe wśród przepięknych lasów szpilkowych. Pensjonat Pocztowy „Gwiazda" we własnym zarządzie, kuchnia djetetyczna, ceny niskie. Komunikacja autobusowa ze Lwowa lub Rawy Ruskiej.

Letnisko Jordanów — Chrobacze. Pokoje z doskonałym wiktem od 2,75 do 3,50 dziennie.

Rabka Zaryte, — willa „Promienna". Śliczne położenie, lasy, rzeka, góry, spokój, swoboda. Kuchnia pierwszorzędna — ceny przystępne.

Krynica. Najkorzystniej w pensjonacie „Maraton". Ładne pokoje. Warszawska kuchnia.

Wisła pensjonat „Orla" Klonowskiej, w centrum, nad parkiem kąpielowym, kanalizacja, elektryczność, dobre odżywianie.

Morze, pensjonat we dworze, własna plaża, poczta Kosakowo pod Gdynią, Andrzejowski.

Dwór blisko Morza. Stały dojazd do plaży, malownicza okolica. Las, tenis, samochód, dobry kucharz. Pokój dwuosobowy z utrzymaniem 11,— zł. Czerwiec taniej. Sulice, pow. Morski.

Dwór w Gliniku Marjampolskim, koło Gorlic, ma jeszcze pokoje do wynajęcia. Okolica podgórska z ładnemi widokami. W miejscu stacja kolejowa, poczta, telefon, kasyno, bilard, bibljoteka, dancingi, bridge, duży park i śliczne spacery. — Pokoje jedno- i dwuosobowe z pełnym komfortem, wykwintnem utrzymaniem i obsługą od zł. 4 do 5 zł. dziennie od osoby, stosownie do wymagań i umowy. Na żądanie wikt jarski. Dla młodzieży akademickiej większe wspólne pokoje po odpowiednio zniżonych cenach. Zgłoszenia: Adamowa Noelowa, poczta Glinik Marjampolski ad Gorlice.

„Górka" — Kolonja leczn. dziecięca im. D-ra Rekt. J. Brudzińskiego — Busko-Zdrój, Woj. Kieleckie. Sanatorjum i Półsanatorjum dla dzieci oraz kolonje sezonowe lecznicze. Schorzenia kośćca, reumatyzm, krzywica, anemja, przymiot etc. — Oddział dla dzieci nerwowych. Szkoła sanatoryjna. Leczenie kąpielami siarczano-słonemi, mułowemi, naświetlaniami etc. Instytucja społeczna. Za dzieci pracowników państwowych 75% opłaca Skarb Państwa. — Informacje piśmnie. Adres: „Górka", poczta Busko-Zdrój.

Letnisko pod Ciechocinkiem, pokoje umeblowane, słoneczne z obfitem utrzymaniem, sosnowe lasy, sucho, pieślicznie, dziennie 4—5 złotych. — Otłoczyn, Willa Kapitanowej Bereźnickiej.

Kosów. Najwytworniejszy pensjonat, to „Kresy", łazienki, tusze, tenis.

Zakopane, Strążyska — willa „Jemioła" przepiękne położenie, poleca słoneczne, tanie pokoje.

Szczawnica. Na liczne zapytania donoszę, że w tym roku prowadzę pensjonat Iwonkę i Paprotkę we własnym zarządzie. Ceny zniżone, lecz utrzymanie nadal pierwszorzędne. Jeżeli we własnym zarządzie prowadzi Wilczyńska, komentarze zbyteczne.

Na letnisko położone pięć minut od lasów i gór — pokoje umeblowane, na żądanie z utrzymaniem. Ceny przystępne — Hotel Lieblich, Andrychów.

Zaryte-Rabka. Pensjonat „Grażyna" blisko Rabki, lasy, rzeki, słoneczne pokoje, wykwintne, obfite utrzymanie. Ceny niskie. Zgłoszenia Wincentyna Górska, Zaryte.

Sopoty. Polski pensjonat w Zopotach „Miraurave" nad samem morzem — własna plaża, zupełnie odnowiony — polska kuchnia.

Zakopane. Pierwszorzędny, ślicznie położony pensjonat „Tytan" pod osobistym zarządem właścicielki i P. Sokołowskiej. — Ceny przystępne.

Worochta. Pensjonat „Danusia" poleca jasne słoneczne pokoje z pościelą, doskonałą, obfitą kuchnią, komfort, ceny niskie.

Spoczynek. W uroczem leśnem, słonecznem miejscu w Zakopanem sezonowe lub stałe mieszkanie, na życzenie z wiktem, dla osób ze skromniejszem wymaganiem, potrzebujących spokoju. Adres: Zacisze, Zakopane. Poste restante.

Morszyn. — Polski katolicki pensjonat „Kresowianka", gruntownie odnowiony, kanalizacja, elektryczność, otwarty od 15. czerwca.

Kuty na Huculszczyźnie. Do wynajęcia czyste i wygodne pokoje z utrzymaniem według umowy najniższa cena. Willa Bałanowej, ul. Tudiowska 21.

Jaszczurówka. Zakopane „Światowid" poleca słoneczne pokoje z utrzymaniem. Wykwintna kuchnia. Ceny niskie.

W Góry, po energję witalną. „Jaremcze". Pensjonat „Gencjana. Słoneczne pokoje z balkonami. Park, Garaże. Wykwintna kuchnia zł 6. Zarząd

Zakopane. Sienkiewicza „Albatros" słoneczne pokoje, telefon, łazienka, ceny niskie.

Ojców. Pokoje słoneczne od 15 zł. miesięcznie. Ojców, Deotyma.

Dwór Zagórze przy **Skawcach** — poczta Klecza Górna przyjmuje pensjonatowo. Posiada także pokoje umeblowane z kuchniami. Okolica podgórska, idealne warunki klimatyczne, lasy szpilkowe, kąpiele w Skawie, przystanek kolejowy na miejscu. Odżywianie pierwszorzędne.

Niemirów-Zdrój. Zdrojowisko borowinowe, siarczane, wysyła na żądanie bezpłatnie ilustrowane prospekty z dokładnemi informacjami i cenami oraz dodatkiem komunikacyjnym, zawierającym rozkład jazdy samolotów, pociągów i autobusów.

Krynica-Zdrój. Willa **„Limba"** tel. 94. Najpiękniejsze położenie z ogrodem, słoneczne, duże pokoje z balkonami, urządzenie pierwszorzędne. Kuchnia wykwintna. Radjo, bibljoteka, leżanki. — Ceny przystępne.

Muszyna koło Krynicy, pierwszorzędny, murowany pensjonat „Zacisze" — pod wytrawnem kierownictwem Drowej Kamińskiej, — morgowy ogród, taras, balkony, kuchnia wykwintna, ceny umiarkowane. Swoboda wiejska, bridge, siatkówka, plaża i kąpiel w Popradzie.

Dworek nad Dunajcem przyjmie letników. Swoboda, bardzo niskie utrzymanie. Ombachówna, Nowy Sącz, Jagiellońska.

Na uroczem letnisku — wśród lasów, pokoje z wykwintnem utrzymaniem od 3,50, kąpiel, tennis, radjo. Folwark Łazy (ad Biduń), p. Niemirów, miasto.

Rymanów — Zdrój

szczawy alkaliczno-słone jodowo-bromowe i znakomita borowina

Wydawca i Redaktor odpow:. Leopold Nowak w Król. Hucie. Adres Redakcji i Administracji: Król. Huta G. Śląsk, ulica Hajducka 15, tel. 41167. konto P. K. O. Nr. 310.202. — Adres Redakcji **Gdynia — Gdańsk:** Redaktor **Michał Morena, Gdynia,** Świętojańska nr. 82, tel. 12-19. Prenumerata wynosi kwartalnie 3 zł. Zagranicznym prenumeratorom dolicza się koszta przesyłki. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Wykonano w Zakładach Graficznych Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie G. Śląsk, ulica Hajducka nr. 15.

DO OJCZYZNY!



ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY

5 SIERPNIA 1934

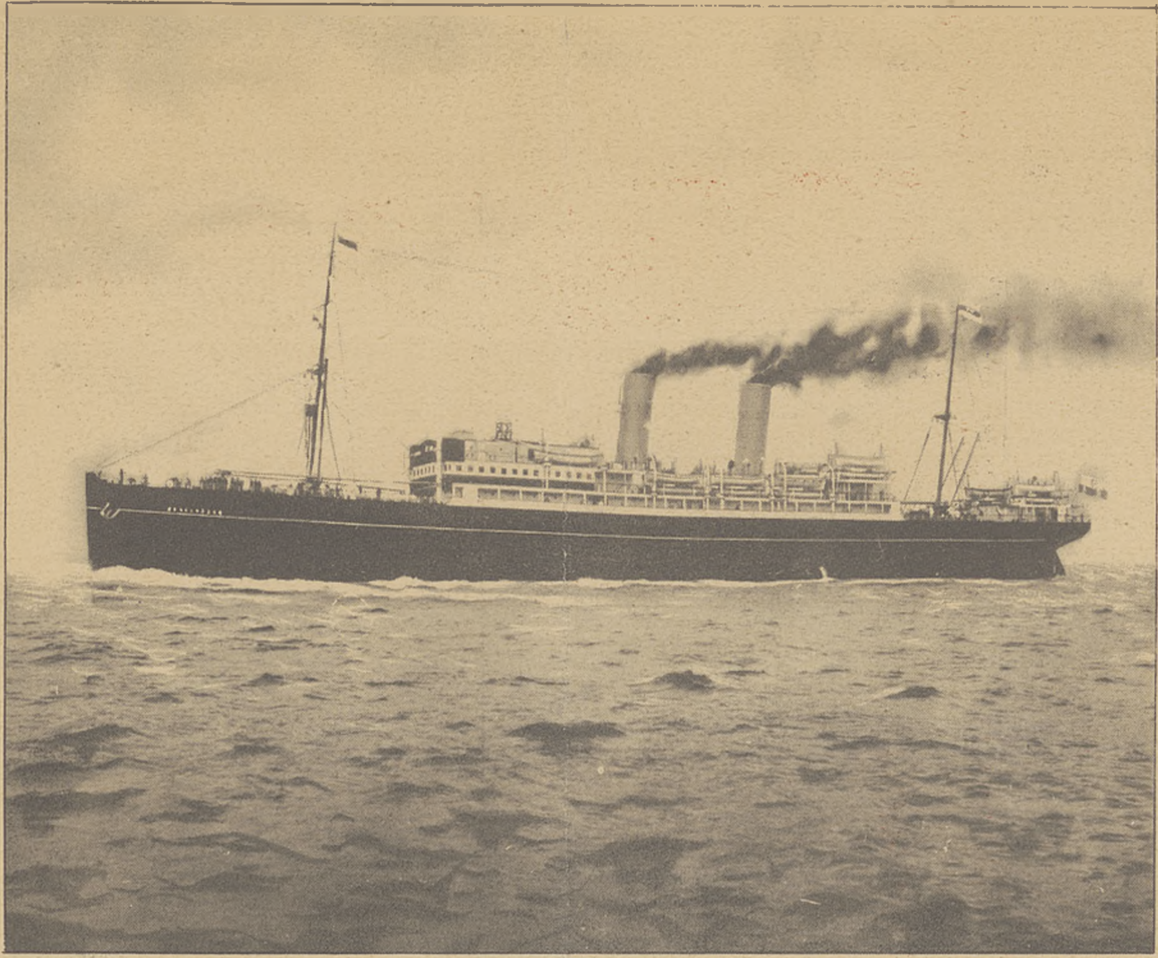
Z. GLINICKI.

POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ

60 Gr.





Największy statek P. T. T. O. „Kościuszko", udający się dnia 5. kwietnia br. na wycieczkę wiosenną do Marocca i na wyspy Kanaryjskie

POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

ROCZNIK II KRÓL. HUTA G. ŚL. – GDYNIA 1. KWIETNIA 1934

Zygmunt d'Erceville

Gdynianizujmy duszę...

„Gdynianizujmy" duszę, — bo trzeba, bo warto. Bogatym przemianom ulegnie, cudownej metamorfozie... Rozbłękitniona, użaglona, stanie się pełna oczekiwań jak brzeg, a pełna nieziemskiej mocy — jak morze. Tak! nieziemska to moc — ta moc, która idzie z fal stepów: rozfalowuje tęsknotę, piętrzy ku niebu wolę... By to zrozumieć — trzeba mieszkać w Gdyni! Trzeba widzieć jak ona się wznosi; niby z morskiego żywiołu rozpędu powstają domy, fabryki i dźwigi — twórczego „sztormu" skutek, huraganowych zachceń wyniki. A mieszkać w Gdyni — to znaczy Gdynię kochać, to zn. „gdynianizować" się...

Jak kochać? Rozczuleniem zwróconem w przeszłość — ku maluchnej rybackiej wiosce... podziwem — teraźniejszości... marzeniem, śmiałem marzeniem, — ku przyszłości...

Bo, stanie się Gdynia — pewnością to jest już — ramieniem Polski, przyciągającem świat ku niej; już teraz tajemnice Indyj i śródziemnomorska ducha pogoda i słodycz myśli wiśniowej Japonji i Chin niesamowita, w żółtym kolorze; zjawa, przychodzą na łopocących w wichrze banderach — i w porcie gdyńskim w zamyśleniu trwają. Ukłonem dla Polski jest to zamyślenie, hołdem złożonem jej pracy i przedsiębiorczości. Gdynia — drugi port na Bałtyku, w mnogich resortach życia gospodarczego — port pierwszy. Po Kopenhadze i przed nią! Gdynia — miasto-dziecko, rzucające swe piłeczki-eksport daleko, bawiące się jeszcze w chowanego z przyszłością, która odnajdzie się napewno, jako rzecz wielka i potężna. Dziecko cudowne, o oczach „zeissowo-patrzących", o dłoniach klaksonami portowemi klaszczących, o nogach żaglowo-śrubowych! Jaką dumą napełnia już swych rodziców: Bałtyk i Polskę!

Chodzi do „szkoły" ducha czasu, ucząc się bogacenia, uszczęśliwiania narodu. Poprzez burze natury i niepogodę życia, kryzysem się zowiącą, idzie do celu — by dojść. Dojdzie! Więcej: bo portom, co w przyszłości się zrodzą, drogę właściwą wskaże. Dlatego: posłannictwa brzemię na barkach Gdynian spoczywa. Wiedzą o tem: świadomie i podświadomie. I, oto, powstaje nowy typ Polaka: nie z roli on jest, ale z soli... tak! z morskiej soli. Moc życiodajna, błogosławiona, — treść dali zawierająca, treść niezmierzonych obszarów...

Polak ten posiada następujące charakterystyczne cechy: *ziemi polskiej nie opuszcza, a duchem zamorskim żyje; spokojnej rodzimej pracy energję, do walki ze sztormami niezbędną, poświęca; staje się, niejako, „Robinzonem" na swoich własnych śmieciach.* Bo z cudzoziemcem wciąż konferując, bo z marynarzem przestając, — ich psychikę, ich temperament przyswaja. Gdyńska metamorfoza: z Polaka — Anglik, Amerykanin, Skandynaw, by — jeszcze bardziej móc być Polakiem!...

Ow nowy typ naszego kraju do torowania nowych dróg jest stworzony. Maluczko, a nie będziemy potrzebowali mówić: „człowiek o amerykańskim pokroju", wystarczy gdy powiemy: „człowiek o gdyńskim pokroju"

Obok niego, — posłuchaj ze wzruszeniem, o cała Polsko; — powstaje



Gdynia w roku 1934 — Widok ogólny z Kamiennej Góry

nowy typ kobiety-Polki. (Ale, o tem w specjalnym feljetonie.)

Port, miasto, letnisko i wioska — czapka marynarska, melonik, beret i włos rozwiany... Oto, Gdynia! Cóż za rozmaitość. Pod jednym dachem niebios poczwórne toczy się życie.... Czy słyszysz? Syrena nawołuje, jezdnia pojazdami szumi, dancingiem rozbrzmiewa plaża, a z pod słomianej strzechy wesoła wybiega pieśn... To wszystko jedna i ta sama Gdynia. Gdy „sezon“ — na złotej tacy lata, gdy — schodzą się na oryginalnej randce: pracowita włoczęga z włoczęgą beztroską, wypoczynek-luksus z wypoczynkiem-potrzebą.

Gaworzy dąb na placu Kaszubskim, starodawnym flirtem zbliżając się do Kamiennej Góry. Rozłącza ich teraz tyle: wille, drapacze, grosz i gwar... Nie rozłączało ich przedtem nic, krom trocha przestrzeni i czasem mgły, lub tumanów piasku...

Rozłącza teraz ich tyle. Ale — łączy miłość powstałego miasta. Ale wspólne cele łączą, korabim idące szlakiem...

Powiedziałem słowo „miłość“... Liczne refleksje rodzą się w Gdyni na ten temat:

„... w Gdyni miłość (mówię teraz o tej ludzkiej, co chce być zawsze „nadludzką“) nie przejdzie nigdy z cudownego galopu w truchcika... nie stanie się przyzwyczajeniem, nie zbanalizuje się, nie spowszednieje. Morze ją ożywi, poderwie!... dali duch ją poprowadzi... wicher przyniesie jej tematów, nawieje treści...“

Przykład, uzasadnienie? Proszę bardzo: nikt się w Gdyni nie rozwodzi, nikt tu nikogo nie zwodzi. Szczerzy są Gdynianie, jak ich gdyńskie fale, i tak jak one z burz w pogodę beztragicznie wchodzą. Morze, co za nich się modli, umie też i za nich się wyzłościć. Ten ciężar zdejmuje im z serc. O, gdyńska ulico, jakże spokojna, jakże sielankowa jesteś, nazajutrz po morskim sztormie!

Bo, czyż można mieć duszę w gniewie, bo czyż można bawić się w jakieś „sceny“, gdy za oknami wyje west, lub nord, gdy sekundy wiatr na metry połykają? Nie! nie można, gdyż z duszy ludzkiej wszelkie zło schodzi wówczas na duszę morza. Oto, jedna z gdyńskich tajemnic, tajemnic z „przepisem na szczęście“...

„Gdynianizujmy“ się! Kochajmy Gdyni naszej zieleń — zieleń drzewa młodego, co mówi nie o tem co było, ale o tem co będzie...

Zaklnijmy kochanie to nasze w słowa poety z drugiego krańca Polski, poety Beskidów — Emila Zegadłowicza, parafrazując, w tym wypadku, jego wiersz o lipie:

Zieleni się Gdynia,
ptak nad nią przelata,
A od Gdyni wiedzie
droga naokoło świata...



Gdynia — Orłowo Morskie



Wspaniały widok na molo pasażerskie

»Foto-Elite« Gdynia



GDAŃSK. *Zabytkowa studnia Neptuna z charakterystycznemi orłami polskiemi*

KRONIKA GDYŃSKA

Największym portem na Bałtyku jest Gdynia

Według oficjalnych zestawień wynika, że port gdyński pod względem ilości obrotów towarowych zajął w roku 1933 pierwsze miejsce na Bałtyku przed Kopenhagą i Gdańskiem.

Zryczałtowanie opłat restauracyjnych na fundusz pracy w Gdyni

W dniu 9-go marca odbyła się w gmachu Komisarjatu Rządu, pod przewodnictwem p. nacz. wydz. finansowego, Leonarda Wilczyńskiego konferencja w sprawie zryczałtowania opłat na rzecz Funduszu Pracy, czyli tak zwanego inaczej podatku od siedzenia, pobieranego przez lokale po godz 24-tej w nocy. Na wniosek samych restauratorów ustalono trzy kategorje opłat od 10—20 zł. Stawki nie mogą być doliczane do rachunków gości.

Wielka konferencja gospodarcza w Gdyni

Dnia 10-go marca odbyła się w Gdyni pod przewodnictwem p. Ministra Przemysłu i Handlu Zarzyckiego wielka konferencja gospodarcza. Konferencja zgromadziła kilku ministrów oraz licznych przedstawicieli świata politycznego i gospodarczo-hundlowego. Wygłoszono trzy referaty. W ożywionej dyskusji poruszono szereg spraw aktualnych tyczących się portu gdyńskiego.

Jednodniowy kurs charytatywny w Gdyni

Dnia 12-go marca odbył się w Hotelu Centralnym, pod kierownictwem ks. Dziekana Turzyńskiego, jednodniowy kurs charytatywny. Referaty wygłosili Ks. Prałat Wysiński p: t.. „Wiara św. a miłosierdzie" i p. dyrektorowa Zapałowska p. t.: „Zapoznanie się z regulaminem dla Stow. Pań Miłosierdzia"

Zwolnienie firm gdyńskich od opłat stemplowych

Sejm uchwalił, na podstawie referatu posła Tebinki, projekt ustawy upoważniającej Ministra Skarbu do zwalniania firm, pracujących na terenie portu w Gdyni od opłat stemplowych. Projektowana ustawa jest bardzo korzystna dla portu gdyńskiego.

Podniesienie się cen na place budowlane w Gdyni

W związku z ożywieniem się ruchu budowlanego w Gdyni poszły w górę ceny placów budowlanych od 15—20%. Pomimo to zgłasza się wielu reflektantów na kupno. Przeciętnie płaci się za plac w centrum miasta 40,— zł.

Olejarnia gdyńska produkuje makuchy sojowe

Polskie koła rolnicze postanowiły pokrywać zapotrzebowanie na makuchy sojowe w Olejarni gdyńskiej „Union". Dotychczas importowano makuchy sojowe z Niemiec. „Union" produkuje miesięcznie około 3000 ton makuchów.



Niedziela dnia 11 marca 1934 r. była dniem historycznym dla polskiego harcerstwa w Gdańsku. W dniu tym poraz pierwszy polskie oddziały harcerskie umundurowane i z rozwiniętemi sztandarami przemaszerowały przez ulice Wolnego Miasta, udając się do siedziby Komisarza Generalnego Rzpl. Polskiej w celu złożenia mu raportu

Zdjęcie nasze przedstawia Ministra R. P. p. Pape e i komendę gdańskiego hufca harcerskiego po złożeniu raportu w ogrodzie Kom. Gener. R. P. w Gdańsku.

KRONIKA GDAŃSKA

Zebranie nauczycielstwa polskiego w Gdańsku

W sali inspektoratu ceł odbyło się plenarne zebranie Związku Nauczycielstwa Polskiego na terenie W. M. Gdańska Na zebraniu był obecny przedstawiciel Gen. Komisarjatu pan radca Ziętkiewicz. Prof. Sołtysik wygłosił referat o dotychczasowej realizacji polsko-gdańskiej umowy mniejszościowej. Mówca podkreślił, że przy realizacji umowy napotyka strona polska na szereg trudności powodowanych szykanami ze strony organów podrzędnych, gdyż Senat stoi na stanowisku lojalnego wykonania umowy. Radca Ziętkiewicz, zabierając głos w dyskusji oświadczył, że Komisarjat Generalny przestrzegać będzie jaknajskrupulatniejszego wykonania polskich praw szkolnych w Gdańsku i wezwał obecnych do współpracy w realizacji umowy.

Gdańsk — Widok ogólny



Zniesienie ochrony lokatorów

Z dniem 1. kwietnia br. przestaje obowiązywać w Gdańsku i Sopotach rozporządzenie o ochronie lokatorów. W związku z tem Senat wydał odezwę, przestrzegającą właścicieli nieruchomości przed wyzyskiem lokatorów.

Połączenie Tczewa z Gdańskiem i Gdynią

Polskie Towarzystwo żeglugi „Vistula" nabyło statek „Carmen", który wspólnie z innemi statkami utrzymywać będzie regularną komunikację między Tczewem' Gdańskiem i Gdynią.

Sól polska na rynku gdańskim

Sól polska wyparła już niemal całkowicie z rynku gdańskiego sól niemiecką. Obecne zapotrzebowanie Gdańska — tak co do soli jadalnej jak i zwierzęcej i chemicznej jest pokrywane w 78 % przez polski monopol solny.

Wywiad z prezydentem Senatu W. M. Gdańska Dr. Rauschningiem

„Der Danziger Vorposten" oficjalny organ Wolnego Miasta ogłasza wywiad z prezydentem Senatu W. M. Dr. Rauschningiem. Pomiędzy innemi p. Rauschning twierdzi, że naprawdę trwałe porozumienie polsko-gdańskie wymaga podwalin duchowych. Przed kilku tygodniami powstało w Gdańsku pod przewodnictwem p. Rauschninga Towarzystwo badania Polski. Jest to próba zbliżenia duchowego. Istnieje projekt, aby zaproponować wybitnym osobistościom polskim członkostwo honorowe.

Gedania pozostaje w lidze

Ostatnia przegrana „Viktorji—Elbing" z „Rasensport Preussen" w stosunku 8 : 3 zadecydowała o pozostaniu Gedani w Lidze. Na przyszłość jednak musi drużyna polska dołożyć wszelkich starań, ażeby zachwianą swoją pozycję nietylko utrzymać, lecz wydatnie poprawić.

Gdańsk przyłącza się do polsko-amerykańskiego traktatu przyjaźni

Według doniesień z Waszyngtonu, departament stanu ogłosił tekst noty wręczonej ambasadzie polskiej o przyłączeniu się Gdańska do traktatów przyjaźni zawartych swego czasu między Polską a Stanami Zjednoczonemi. Przystąpienie Gdańska do traktatów weszło w życ w dniu 24. marca 1934 r.

Pomóżcie zbudować w Gdyni Bazylikę Morską!

Hasło wybudowania w Gdyni wielkiego kościoła-bazyliki o znaczeniu ogólno-narodowem, rzucono już 10 lat temu. Było ono tak słuszne, że trafiło odrazu do przekonania ogółu. Hasło to stanowiło niejako ujęcie w słowach tego, o czem wszyscy podświadomie myśleli i co zgadzało się z intencjami ludzi czujących i myślących po polsku i katolicku.

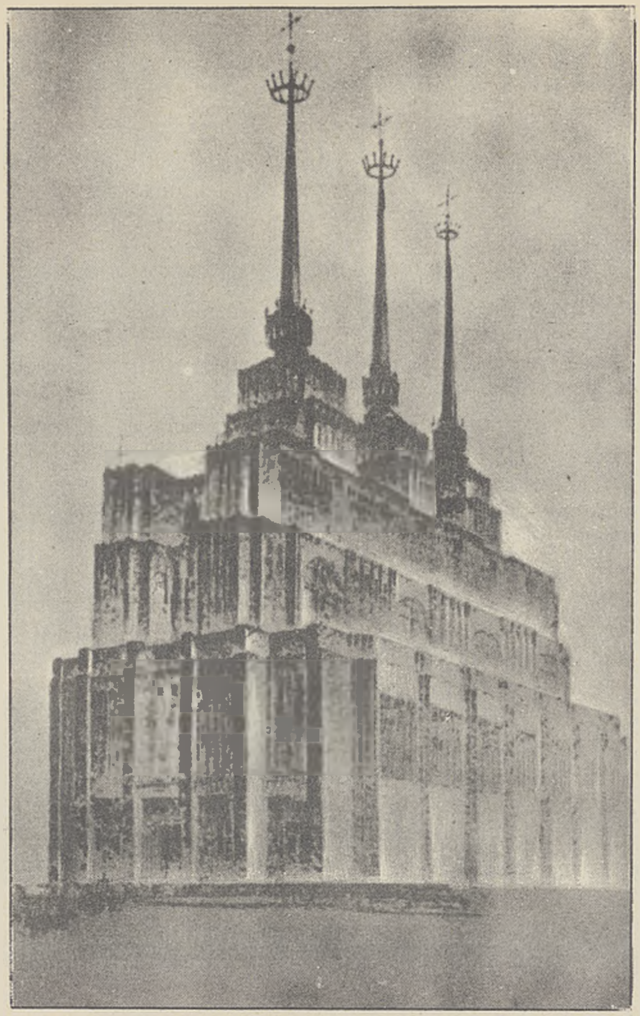
Gdynia, będąca jedyną reprezentantką naszego narodu i Państwa w ogólno światowym handlu morskim, musi również godnie reprezentować i jego stosunek do religji — i to nietylko wobec własnych obywateli, lecz również i wobec obcokrajowców, którzy na swych okrętach do naszego portu tak licznie zawijają. Gdynia jest naszą stolicą morską i stanowi widome ogniwo łączące nas z morzem. Tutaj znajdują swój wyraz i ogniskują się wszystkie uczucia, jakiemi nabrzmiewa pierś każdego Polaka na myśl o własnem morzu, utraconem ongiś i znowu odzyskanem przez wskrzeszenie niezależnego Państwa polskiego i połączenia wszystkich jego dzielnic.

Znaczenie Gdyni potęguje się i dlatego jeszcze, że odbywają się tutaj i nadal będą się odbywać wszystkie wielkie zjazdy o charakterze państwowym i narodowym. Tutaj mają miejsce uroczystości związane ze świętem morza. Wszystkie te uroczystości i zjazdy muszą mieć odpowiednie do liczby uczestników, obliczanych na dziesiątki tysięcy, tło i ramy. Takiem tłem ma być Bazylika morska. Pozatem będzie ona pomnikiem odzyskania morza polskiego i zjednoczenia go z wszystkiemi ziemiami polskiemi.

Na wszystko jednak trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Ażeby te pieniądze zdobyć i ideę budowy Bazyliki morskiej zrealizować, zawiązało się w Gdyni Towarzystwo pod nazwą: „Towarzystwo Budowy rz.-kat. Bazyliki Morskiej jako pomnika odzyskania morza". W skład towarzystwa weszły wybitne osobistości, reprezentujące Gdynię, a mianowicie: Ks. dziekan Turzyński, dyr. Urzędu Morskiego inż. Stanisław Łęgowski, dyr. B. G. K. Władysław Grabowski, prez. Izby Przem.-Handl. Napoleon Korzon i inni.

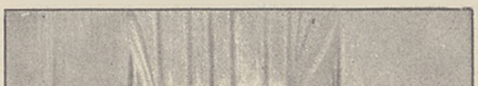
Wybrano miejsce pod budowę. Wybór padł na wzgórze Kamiennej Góry, dominujące ponad miastem i oddalone zaledwie o kilkaset metrów od morza.

To położenie da Bazylice odpowiedni stosunek do miasta. Monumentalny jej gmach będzie już z daleka widocznym dla nadpływających okrętów, znacząc Gdynię swą oryginalną sylwetką.



Projekt Bazyliki Morskiej w Gdyni

Rozpisany konkurs na projekt Bazyliki dał pozytywny rezultat. Jury konkursowe, składające się z wybitnych osobistości i znawców architektury na czele z księdzem biskupem chełmińskim, dr. Okoniewskim i p. ministrem przemysłu i handlu F. Zarzyckim, przyznało pierwszą nagrodę pracy prof. inż. Bogdana Pniewskiego z Warszawy, zatwierdzając nagrodzoną pracę jako nadającą się do budowy.



Wnętrze projektowanej Bazyliki

Nagrodzony projekt przedstawia Bazylikę w formie trzynawowego kościoła. Płaskie krzyżowe sklepienia, przykrywające nawy, opierają się na dwóch szeregach słupów o krystalicznych kształtach zgrubiających się ku górze. Środkowa najwyższa nawa posiada trzy latarnie, zakończone od zewnątrz wysokiemi sterczynami, niosącemi emblematy kościelne i korony. Te trzy wieżyce, umieszczone na wspólnej nawie, nadają sylwecie Bazyliki specyficznie indywidualne piętno, które będzie się wybitnie uwydatniać w ogólnej sylwecie miasta widzianego od strony morza. Mury świątyni będą wykładane wewnątrz krajowym alabastrem, zewnątrz zaś jasnym piaskowcem, który będzie błyszczał w słońcu.

Bazylika pomieści około trzy tysiące osób. Wewnątrz świątyni projektowane są trony dla p. Prezydenta Rzpl. i dla ks. Biskupa, oraz miejsca specjalnie przeznaczone dla dostojników państwowych i delegacyj. Zewnątrz kościoła będzie ustawiony ołtarz polowy. W obrębie Bazyliki pomieści się swobodnie 30.000 osób. Bazylika będzie według planu połączona z miastem monumentalnemi schodami oraz dojazdami i drogami dla pieszych. Koszta budowy zostały obliczone na trzy miljony złotych. Pierwszy etap budowy, który ma się rozpocząć już w bieżącym lecie, wyniesie około miljona zł.

Jednakże komitet nie rozporządza jeszcze tak wielkiemi sumami i wobec tego jest zmuszonym odwołać się do ofiarności publicznej.

Stańmy więc do szeregu! Niech popłyną chociażby najskromniejsze datki. Pokażmy, że potrafimy ocenić wzniosły zamiar przysporzenia narodowi naszemu po wieki trwałej pamiątki, przypominającej nam zawsze ten historyczny dzień odzyskania naszego polskiego morza!

*

P. S. Popierając odezwę Komitetu budowy Bazyliki Morskiej w Gdyni, Redakcja naszego czasopisma zwraca się z gorącym apelem do wszystkich naszych czytelników, ażeby pośpieszyli na wezwanie i przyczynili się chociażby najdrobniejszemi datkami do zbożnego dzieła. Pieniądze należy nadsyłać do naszej redakcji na specjalnie w tym celu utworzone konto lub wprost do Banku Gospodarstwa Krajowego w Gdyni P. K. O. Nr. 170.158.

Bohdan T. Lepecki / Warszawa

Szlakiem polskich conquistadorów

Z Rio de Janeiro do Kurytyby...

Po wielu miesiącach pobytu w pięknej stolicy brazylijskiej, po odbyciu szeregu interesujących ekskursyj po stanach Rio de Janeiro, Sao Paulo i Minas Geraes, postanowiłem zwiedzić południe Brazylji, a zwłaszcza stan Parana, który nęcił mnie swojem mało jeszcze zbadanemi lasami, w 80% pokrywającemi jego powierzchnię. Natychmiast po powzięciu decyzji poczyniłem wszelkie niezbędne przygotowania do tej dalekiej podróży i wyruszyłem w drogę.

Dwoma szlakami można wędrować z Rio de Janeiro do Parany. Najszybciej dojeżdża się koleją, jadąc przez Sao Paulo, Itarare, Ponta Grossę do stolicy stanu — Kurytyby. Tej drogi nie polecam nikomu, kto nie jest przyzwyczajony do podróżowania kolejami brazylijskiemi. Jeżeli nie chorował na chorobę morską w czasie podróży przez Atlantyk, napewno będzie cierpiał na nią w trzęsących wagonach kolei wąskotorowej, łączącej Ponta Grossę z Kurytybą. Jazda pociągiem brazylijskim, to męka nie do opisania.

Wyjątkiem od tej reguły jest kolej Central Brazil, łącząca Rio de Janeiro z Sao Paulo. Znacznie milsza i przyjemniejsza jest podróż statkiem brzegowym z Rio de Janeiro do parańskiego portu Paranagua, skąd w ciągu kilku godzin można dojechać koleją górską do Kurytyby. Zresztą jazda okrętem jest znacznie tańsza i ten wzgląd zadecydował ostatecznie o wyborze drogi.

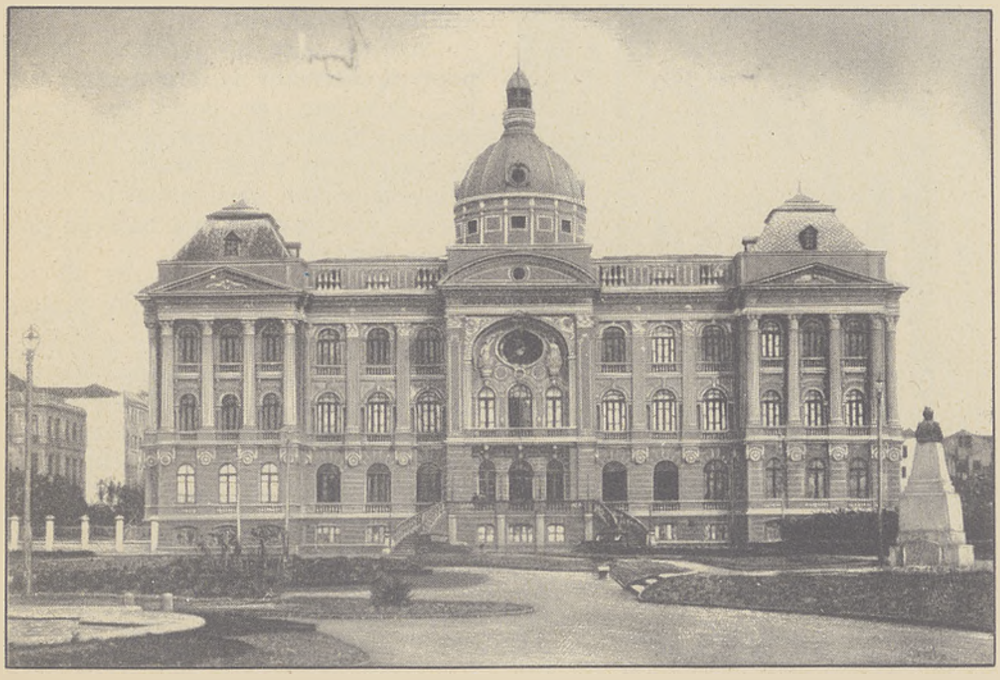


Pinjory parańskie

Pewnego skwarnego południa wsiadłem na niewielki statek brzegowy „Santos", utrzymujący stałą komunikację między portem amazońskim Manaos a Buenos Aires i zatrzymujący się po drodze również w Rio de Janeiro i Paranagua i pojechałem na południe, w stronę terenu mych przyszłych eksploracyj.

Podróż małym brzegowcem, w czasie pięknej pogody, nie przedstawia nic osobliwego. To też przez pierwszy dzień drogi, aż do Santos, gdzie statek nasz zatrzymał się w celu nabrania ładunku kawy, przeznaczonej do Argentyny, podróż była dosyć monotonna. Co chwila ukazywały się górzyste brzegi pobliskiego lądu brazilijskiego, aby za moment zniknąć w mgłach oddalenia.

Kurytyba — Uniwersytet



W największym porcie kawowym świata

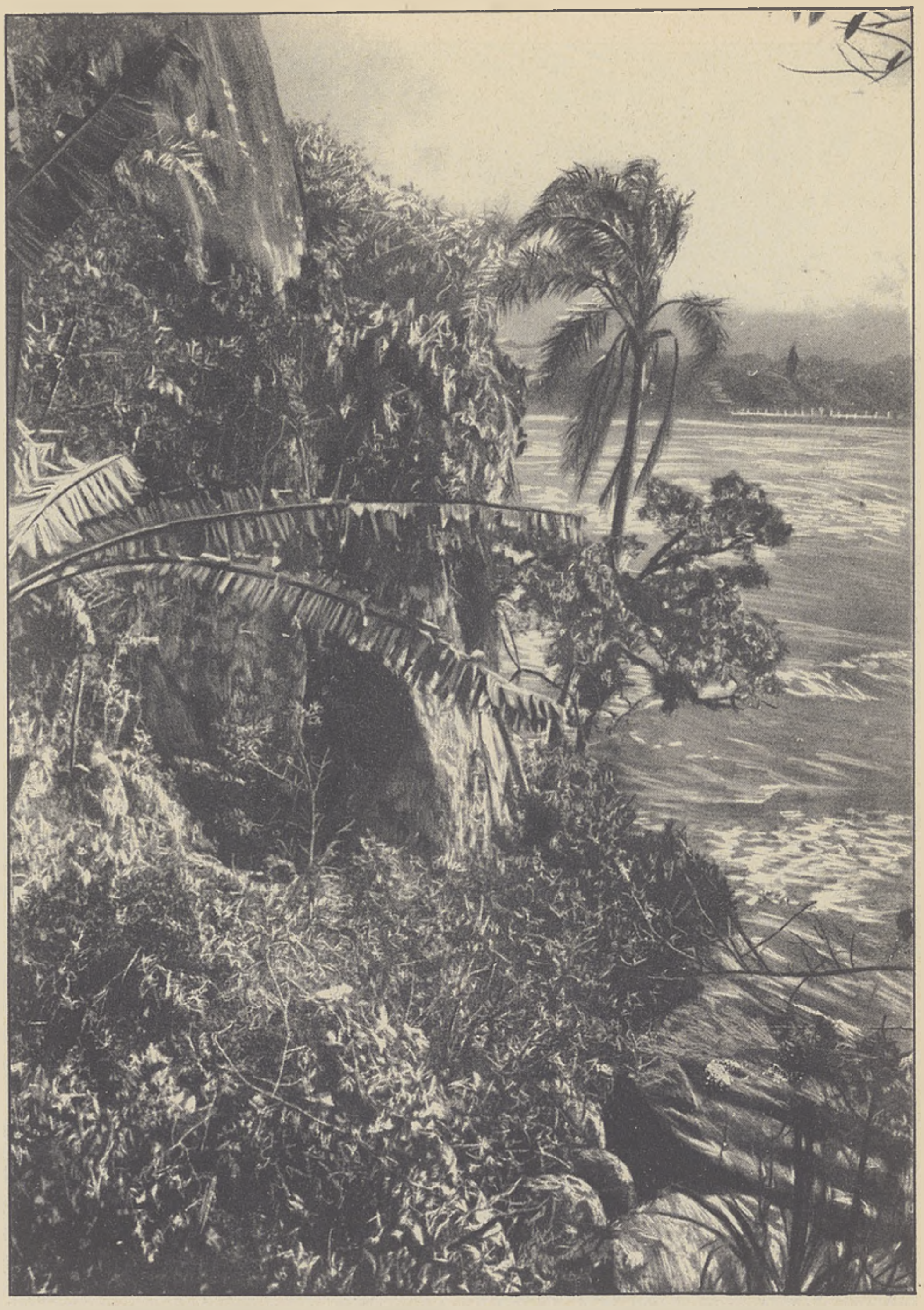
Bardziej malowniczy był wjazd do portu. Wyobraźmy sobie wąską, kiszkowatą zatokę, zakręconą nieco przed miastem, a będziemy mieli obraz wód, nad któremi rozłożył się ten największy kawowy port świata. Koło południa dojechaliśmy do składów Nr. 1, do których przybijają statki Lloydu Brazylijskiego. Kiedyś, przed kryzysem kawowym, port w Santos kipiał życiem. Całemi sznurami zajeżdżały doń statki po kawę, przywożąc wzamian produkty przemysłu europejskiego i północno-amerykańskiego. Obecnie, wskutek katastrofalnego spadku cen tego głównego artykułu wywozowego Brazylji, ruch w porcie spadł do minimum. Koło nielicznych, stojących na przystani okrętów, wałęsały się tłumy bezrobotnych tragarzy, wypatrujących rozgorączkowanemi oczyma na jakąkolwiek sposobność zarobienia milrejsa (milrejs — brazylijska jednostka monetarna, odpowiadająca 43 groszom). Olbrzymie składy okrętowe

stały pustką lub były wypakowane bezwartościową kawą.

Korzystając z godzinnego postoju statku, udałem się do miasta i tu, podobnie jak i w porcie, przygnębiła mnie rzucająca się w oczy martwota. Na wielkich, szerokich, dobrze zabudowanych ulicach snuły się gromadki nędzarzy, z zazdrością spoglądających w okna wystawowe bogatych magazynów, dawniej przepełnionych publicznością, dziś wzbudzających tylko pożądliwość ofiar kryzysu. Czy tłumy te długo jeszcze zachowają wrodzoną „calma brasileira" („chłód brazylijski")? Czy pamięć o dawnym dobrobycie, tak niespodziewanie utraconym, nie popchnie ich do jakichś szalonych wystąpień, od których zabroczą się krwią wspaniałe avenidy umierającego portu? Niedaleka przyszłość odpowie na to ciekawe pytanie. (Wkrótce potem wybuchła krwawa rewolucja w kawowym stanie Sao Paulo, stłumiona dopiero po trzech miesiącach zaciekłych walk, w których brała udział cała armja brazylijska.)

* * *

Zmęczony widokiem nędzy i upadku pojechałem nad wielką plażę, uważaną słusznie za jedną z piękniejszych w Brazylji. Plaża w Santos ciągnie się na przestrzeni kilku kilometrów szerokim pasem wzdłuż oceanu Atlantyckiego. W niektórych miejscach osłaniają ją od gwałtowności fal morskich małe wysepki, półwyspy lub skały. Jest dosyć twarda, gliniasta i różni się tem od piasczystej plaży Copacabana w Rio de Janeiro. Nie można się wylegiwać na niej tak przyjemnie jak na Copacabanie, ale zato teren jej świetnie nadaje się do przejażdżki na rowerze, koniu lub samochodzie. Wzdłuż plaży zbudowano w czasach pomyślności gospodarczej mnóstwo wspaniałych willi, hoteli i pensjonatów, których mieszkańcy wprost z domu udają się do kąpieli Dzisiaj wiele z tych domów stoi pustkami. Mało kogo stać na opłacanie nawet bardzo zredukowanego czynszu mieszkaniowego.



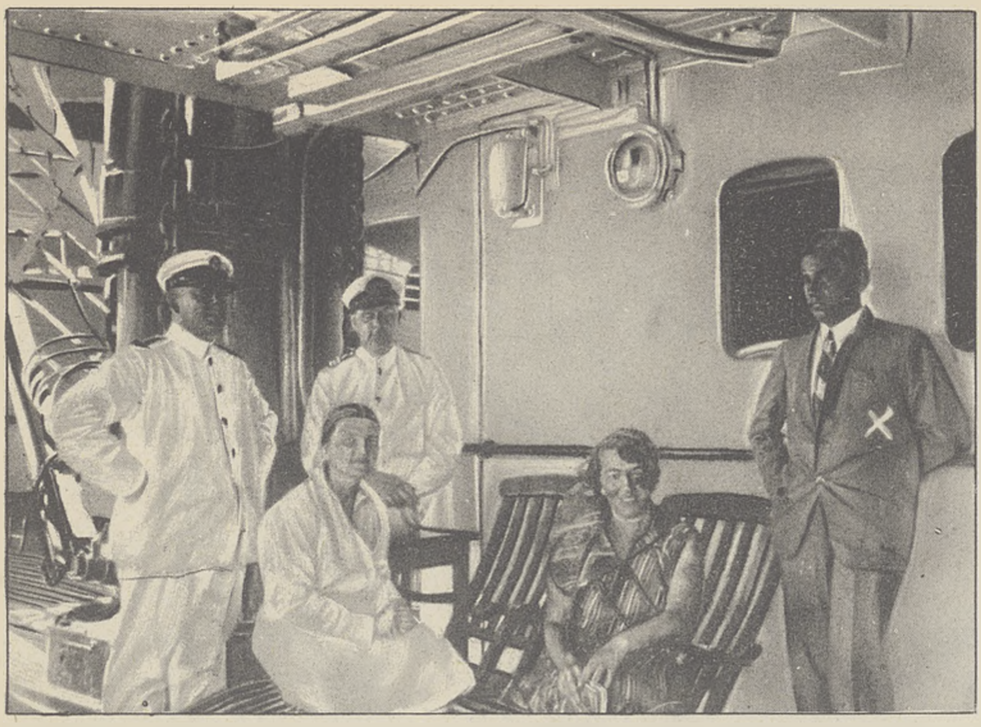
Wybrzeże morskie w pobliżu portu w Santos

Port Paranagua



Po władowaniu ostatniego worka kawy, zajęczały maszyny „Santosu" i statek znowu wyjechał na szerokie wody Atlantyku, kierując się wprost do Paranagua. Jakby dla przekonania mnie, że i podróż morska nie zawsze bywa przyjemnością, zerwała się silna wichura i ciskała naszym stateczkiem na wszystkie strony. Kląłem na czem świat stoi i przysięgałem, że nigdy nie pojadę brzegowcem. Wreszcie zmęczony, schorowany, udałem się do kabiny i przedrzemałem do rana. Kiedy obudziłem się, „Santos" wjeżdżał do ogromnej zatoki Paranagua.

Na horyzoncie zamajaczyła poszarpana linja brzegowa Parany. Z mglistych oparów wczesnego ranka zaczęły



Bohdan Lepecki na statku po wyjeździe z portu Rio de Janeiro

wyłaniać się potężne szczyty gór Sierra do Mar, oddzielających duszne, wilgotne i febryczne Pomorze parańskie od chłodnego i zdrowego wnętrza kraju. „Santos" zbliżył się do wysp, zamykających zatokę Paranagua od strony Atlantyku.

Raj dla Robinsonów

W dzieciństwie z zachwytem czytałem o przygodach Robinsona na wyspie bezludnej. Przysięgałem sobie, że skoro urosnę, pojadę do „ciepłych krain", siądę na okręt, który rozbije się na brzegach bezludnej wyspy, nie utonę jednak, lecz pozwolę się falom wyrzucić na brzeg i zaznam wszystkich przygód, których tak zazdrościłem Robinsonowi Kruzoe. Z biegiem lat tęsknota za przygodą słabła, traciła na swej namiętnej sile. Teraz jednak, kiedy w całej przecudnej okazałości podzwrotnikowej ujrzałem, wyłaniające się z niepokalanie lazurowych wód fal morskich, zielone bukiety wysp okalających zatokę Paranagua, jak żywe stanęły mi przed oczyma marzenia dzieciństwa. Jedna przy drugiej rozsypały się duże, średnie i zupełnie małe wysepki zarosłe palmami, pełne malowniczych zatok i złocistych plażek. Na jednych mieszkali już ludzie w prymitywnych, glinianych chatkach, wiele jednak — zwłaszcza mniejszych — było zupełnie bezludnych. Niektóre były tak maleńkie, że przez przezroczysty gaik widać było morze, omywające przeciwny brzeg wyspy. Tylko wysiąść i zacząć życie Robinsona.

Znając stosunki brazylijskie, wiedziałem, że niktby nie niepokoił takiego pustelnika. Owoców dostarczałyby krzewy bananowe, ryb i krewetek — ocean, słowem możnaby żyć jak w raju utraconym. Ogarnęła mnie silna pokusa, cisnąć wszystko do djabła i żyć życiem wolnem i nieskrępowanem. Spojrzałem z zachwytem na wysepki. Wyglądały cudownie. Najrozmaitsze rodzaje palm, krzewów, ljan i kwiatów złożyły się na to, aby nadać im jaknajbardziej barwnego kolorytu.

Niestety zbyt wiele z biegiem lat komplikuje się życie ludzkie, aby go łatwo było można wykoleić ze zwykłych torów. Nie wysiadłem z okrętu i nie zbudowałem chatki w cieniu drzew bananowych.

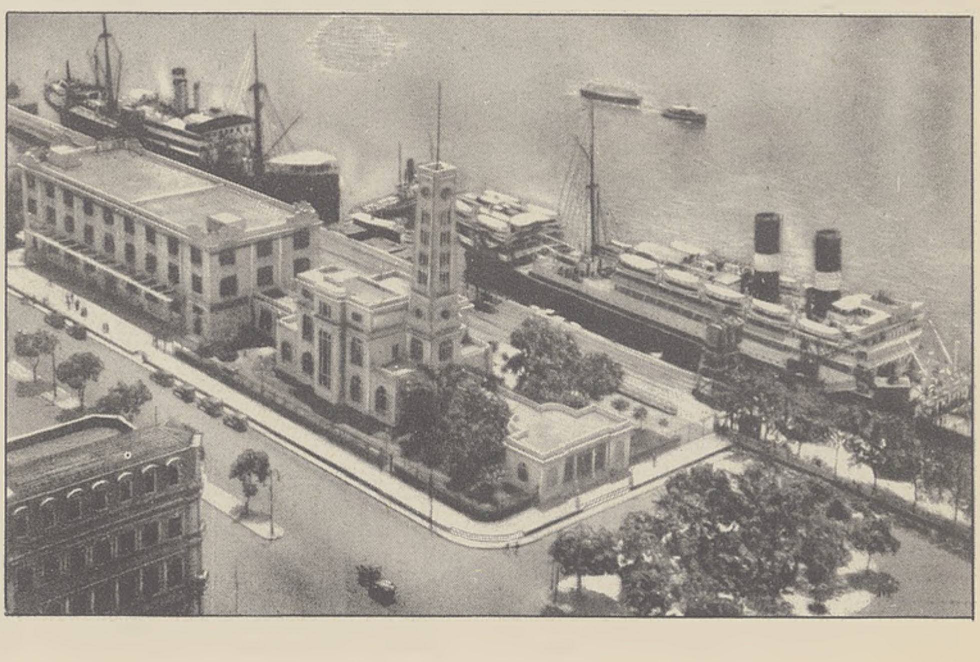
Nie wiem, czy kiedy zostanę Robinsonem. Zwracam jednak uwagę młodych marzycieli na bezludne wysepki w zatoce Paranagua. Można tam bez wielkich przeszkód pędzić życie samotne. Tylko proszę się spieszyć, bo świat zaludnia się bardzo szybko i rychło już siekiera drwala zacznie rąbać pnie palm, wystrzelających zielonemi bukietami z fal Atlantyku.

Paranagua — główny port stanu Parana

Port Paranagua nie jest należycie urządzony i nawet małe stateczki w rodzaju naszego „Santosu" nie mogą przybijać do brzegu. Podobno brakuje jeszcze 4 miljonów milrejsów, których w żaden sposób nie można wydobyć z pustych kas stanu Parana. Stanęliśmy w pewnej odległości od wybrzeża, skąd dopiero prywatną motorówką, za opłatą 3 milrejsów, dostałem się do miasta. Lloyd Brazylijski nie uważa za wskazane dostawienie pasażerów do brzegu. Gdyby komuś zabrakło pieniędzy, musiałby chyba wpław dostać się do lądu. Na odjezdnem pasażerowie, pozostający jeszcze na statku, żegnali odjeżdżających, okrzykami: „Smacznego, dobrych kamaronów w Paranagua" (kamaron — camarão — po portugalsku krewetka). Według powszechnej opinji w zatoce Paranagua łowią najsmaczniejsze krewetki w całej Brazylji. Postanowiłem, po przybyciu na ląd, sprawdzić, czy ta opinja jest należycie uzasadniona.

Paranagua, rozrzucona na bagnistem wybrzeżu morskiem, zdumiewa spokojem i absolutnym brakiem ruchu. Dość porządnie zabrukowane ulice, porastają trawą. Pusto na nich jak we wsi purytańskiej w czasie niedzielnego nabożeństwa. Senni przechodnie snują się zrzadka po stosunkowo szerokich, zalanych słońcem chodnikach. Na całem mieście widnieje piętno jakiejś starzyzny i opuszczenia. Nawet statki brzegowe wyładowują swój towar powoli, beznamiętnie w myśl starej maksymy brazilijskiej, że *„przecież czas nie jeleń, nie ucieknie"*. Nowoczesne magazyny, których kilka znajduje się na głównych ulicach miasteczka, wydają się kwiatkami śmiesznie przypiętemi do kożucha. Główny port stanu Parana nie świadczy swoim wyglądem, aby eksport morski tej krainy przybierał kiedykolwiek większe rozmiary.

Port Rio de Janeiro, z którego odchodzą okręty w różne strony świata



Motorówka przybiła do brzegu o godzinie 9-ej rano, pociąg do Kurytyby, następnego etapu mej podróży, odchodził dopiero wieczorem. Miałem dosyć czasu na zwiedzenie miasteczka. Zatrzymałem się w gospodzie p. Gradowskiego, położonej nad brzegiem morza. Upał dokuczał nieznośnie. Z nadmorskich zarośli mangrowiowych dolatywały duszne podmuchy, cuchnące zgnilizną i błotem. Niemal dotykalnie czuło się febrę, tego największego wroga cudzoziemskich kolonistów, którzy skolonizowali wyżynne wnętrze Parany, ale nie potrafili stąpnąć pewniejszą nogą na nizinnem i bagnistem wybrzeżu. Znałem z książek opisy gąstwin mangrowiowych, dopiero jednak w Paranagua miałem sposobność obejrzenia ich zbliska. Z powodu miękkości i błotnistości tenenów, na których wyrastają z reguły krzewy mangrowiowe, korzenie tych drzewek wystają przeważnie nad ziemią tworząc misterne rusztowania ułatwiające zielonym koronom utrzymanie się w powietrzu i uchronienie od zatopienia w czasie przypływów morskich. Wdychając ciężkie powietrze bagnistego wybrzeża, pomyślałem, że o ile z przyjemnością posiedziałbym na jednej z wysepek u wejścia do zatoki, gdzie wieją rzeźwe wiatry z pełnego morza, o tyle za nic w świecie nie chciałbym mieszkać w Paranagua, w pobliżu bagien i ziejących zgnilizną mokradeł.

Upał dokuczał nieznośnie choć była to dopiero druga połowa października. Po kilkugodzinnym spacerze po mieście, wróciłem do gospody napół żywy ze zmęczenia. Odsapnąwszy nieco, zasiadłem do obiadu w czasie którego, zgodnie z mojem życzeniem, podawano kamarony, kamarony i jeszcze raz kamarony. Zakosztowałem kamaronów smażonych, przegryzłem gotowanemi, aby wziąć się z całym zapałem do zapiekanych w cieście. Obecnie, w sposób jaknajbardziej autoratywny stwierdzam, że sława krewetek z Paranagua jest najzupełniej uzasadniona. Gospodarz usiłował mnie skrzepić jeszcze olbrzymim krwawym befsztykiem, twiedząc, iż krewetki to nie jedzenie, ale przekąska, z żalem jednak musiałem odmówić jego prośbie. Nie miałem ani centymetra wolnego miejsca w „zakrewetkowanym" żołądku.

Pod wieczór wyjechałem z Kurytyby. Droga prowadziła początkowo przez bagniste równiny nadmorskie. Poprzez niskopienne, krzewiaste, podmokłe bory sączyły się leniwie strugi brudnobłotnistej wody. Miejscami, na brzegach lasu, zwieszały się ljany, splątające drzewa w miłosnym uścisku. Kolorowe, żółte i czerwone kwiaty pokrywały szereg drzew, nieznanego mi gatunku i urozmaicały monotonne nieco szarozielone tło lasu. Z lokomotywy, opalanej drzewem, sypały się snopy iskier, wpadających przez otwarte okna do wagonu i wypalających dziury w ubraniach.



Jedna z ulic w Santos

Paranagua — Główna ulica


Przez góry Sierra do Mar

Po godzinnej jeździe dotarliśmy do podnóża gór Sierra do Mar. Pociąg powoli zaczął drapać się pod górę. Powietrze stawało się rzeźwe i przyjemne. Rzeki, tak leniwe i brudne na nizinach nadmorskich, toczyły się żywiej i były coraz czyściejsze.

Droga kolejowa przez góry Sierra do Mar należy bezsprzecznie do najpiękniejszych na świecie. Pociąg przebiega nad przepaściami, których sam widok przyprawia o zawrót głowy, przemyka się dziesiątkami tuneli — nieraz, wybiegając z jednego, wpada wprost do drugiego ciemnego otworu. Mija nieskończone mnóstwo większych i mniejszych wodospadów, tonie w gęstwinach puszczy podzwrotnikowej, wdziera się na zawrotnie wysokie przełęcze gór, tuli się trwożnie do nagich skał, ucieka od przepaści, straszliwych jak czeluście piekielne. Zdumione oczy nie wiedzą czem się więcej zachwycać.

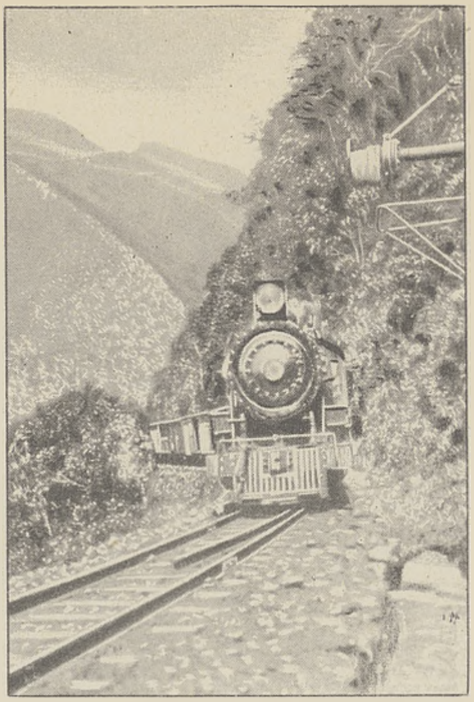
Brazyljanie, jadący ze mną w wagonie, dowiedziawszy się, że jestem cudzoziemcem, ustąpili mi najlepsze miejsce koło okna.

— *Proszę podziwiać* — mówili ze słuszną dumą.

Cieszyli się jak dzieci z mojego zachwytu, delektując się pochwałami, których nie szczędziłem przesuwającym się przed oczyma krajobrazom.

Po przebyciu najwyższych przełęczy, pociąg powoli zaczął zjeżdżać na wyżynę kurytybską. Góry Sierra do Mar, tak strome i niedostępne od strony oce-

anu Atlantyckiego, były zupełnie łagodne i obłaskawione od strony płaskowyża, rozpościerającego się na zachodzie. Zbite gąszcze liściastej zieloności podzwrotnikowej ustępowały rzadkim, podszytym nawet miejscami trawą, lasom klimatu umiarkowanego. Przeskok między roślinnością i klimatem dusznego i gorącego parańskiego Pomorza a świeżej i chłodnej wyżyny kurytybskiej był tak wielki, że nie mogłem oczom uwierzyć. Przecież jeszcze przed dwoma godzinami dyszałem z gorąca w gospodzie Gradowskiego i spoglądałem na febryczne gąszcze mangrawiowe, a tu mam wrażenie jakbym powrócił z ciepłych krain do starej, kochanej Europy. Żeby złudzenie było jeszcze większe, na horyzoncie ukazały się wielkie dostojne drzewa iglaste — *pinjory*, tak charakterystycznych dla wyżu parańskiego. Gorące, podzwrotnikowe Pomorze parańskie znikło poza zębatemi szczytami gór Sierra do Mar. Zbliżaliśmy się do Kurytyby, stutysięcznej stolicy stanu Parana.



Droga przez góry Sierra do Mar

MICHAŁ MORENA / GDYNIA

POLACY W CASABLANCA

Z PODRÓŻY STATKIEM „POLONIA" DO AFRYKI

Noc... Na niebo usłane gwiazdami wypłynął wielki księżyc i rzucił swe odbicie w ciemne fale Atlantyku. Na zlewającym się z oceanem horyzoncie migają w regularnych odstępach czasu światełka latarń morskich. Na statku cisza... Tu i ówdzie, na pokładzie snują się tajemnicze cienie i cicho, szeptem prawie porozumiewają się ze sobą. Czuć w ich rozmowie pewne zniecierpliwienie.

Dlaczego my tak powoli płyniemy?

Widać, że im się nie śpieszy...

A o której będziemy w Casablance?

Powiadają, że o szóstej, ale to wcale nie jest pewne. Czeka nas zresztą cała masa różnych przyjemności. Formalności paszportowe, odprawy celne i inne tym podobne zawracanie głowy. Dalibóg, aż człowieka djabli biorą. Myśli sobie człowiek: Zapłaciłem grube pieniądze, a więc będę miał wygodę i odpocznę sobie, a tu masz djable kaftan! Okręt wlecze się jak żółw, ciągła dyscyplina, chodzenie partjami na obiad i schodzenie partjami z okrętu — z prawej burty, z lewej burty... i rób co chcesz...

A czy będą przynajmniej auta na czas?

Mam wrażenie, że będą! Wycieczka wyjeżdża dopiero o godzinie ósmej. Wie pan co? Może lepiej chodźmy się wyspać. Do rana jeszcze daleko a i tak się niczego nie doczekamy...

Może pan ma i rację. Chodźmy...

Błąka się w nas niesamowita wprost żądza zwiedzania obcych krajów. Chcielibyśmy odrazu wszystko zwiedzić. Jesteśmy poprostu nerwowi i nieznośni. Mamy największe wymagania, krytykujemy wszystko i nic nam się nie podoba.

Trzeba zobaczyć, co się dzieje przy wysiadaniu ze statku na ląd. Ciśniemy się i pchamy naprzód, a kiedy już dotkniemy nogą lądu, rzucamy się na wyścigi do taksówek i autokarów. Każdy chce być pierwszym i zająć jaknajlepsze — w jego pojęciu - miejsce. Znika zupełnie, reklamowane tak często, poszanowanie dla płci pięknej. Ja płacę, ja wymagam! Lwy salonowe zamieniają się na zwykłe kundle...

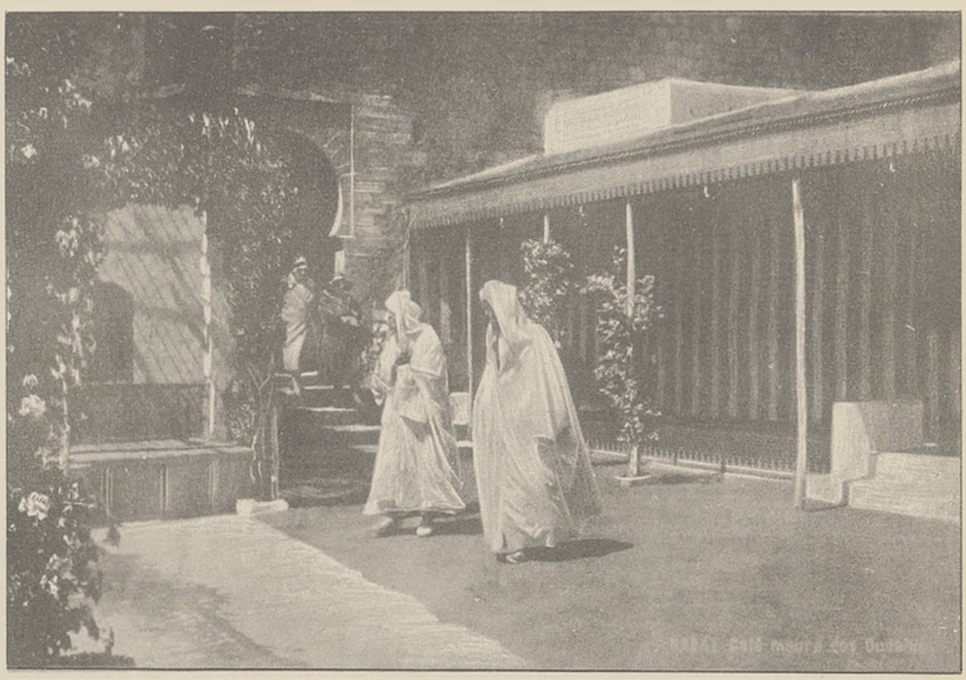
* * *

Zaledwie tylko zaróżowił się poranek, a już całe masy ciekawych wyległy z kabin na pokład, ażeby jaknajprędzej zobaczyć — z taką niecierpliwością oczekiwany — ląd afrykański. W snach nocnych przedstawiano go sobie jako coś nadzwyczajnego, cud jakiś. A tymczasem ujrzano coś takiego mniej więcej jak nasza Gdynia. Niedokończone i piaskiem zasypane ulice, budujące się magazyny, mniejsze od naszych, przypominały, że Casablanca jest portem również dopiero w stanie powstawania. Jedynie tylko widoczne zdala miasto i palmy, ciemne i opalone twarze oraz zawoje, fezy a także i ubiór trochę inny, aniżeli ten, do któregośmy przywykli, wskazywał nam, że jesteśmy w Afryce.

Na placu przed okrętem handlarze arabscy porozścielali swe maty i porozkładali swe puffy, fezy, kilimy oraz różne wyroby skórzane „Veritable Maroquin" a naturalnie bardzo często „Made" gdzieś tam w Marsylji albo nawet „in Germany". Pomiędzy nimi grupy ludzi, oczekujących na przybycie okrętu. Jedna z tych grup to rodacy, zamieszkali w Casablanca, którzy przyszli przywitać polski okręt i Polaków z kraju.

Zebrali się więc p. Goworowska, warszawianie oraz przedstawiciele innych stron Polski. A więc p. Baczyński, „lwowskie dziecko", który przed kilku laty pracował przy budowie gmachu Banku Gospodarstwa Kra-

Rabat — Kawiarnia mauretańska w Casbie Udaja





Autor feljetonu, Michał Morena, robi wywiad na statku „P o l o n i a“ podczas podróży do Afryki z najlepszą biegaczką świata Stanisławą Walasiewiczówną

jowego w Gdyni. Przyjechał własnym samochodem p. Kotarba, majster cementowni, pochodzący z pod Krakowa, przywożąc ze sobą swego przyjaciela, Czecha — zdaje się p. Novaka —, który chciał również zobaczyć ludi z „naszych stron“. Było i innych sporo, lecz nie wszystkie nazwiska utkwiły mi w pamięci.

Wszyscy oni bardzo chętnie zaofiarowali nam swoje usługi w charakterze przewodników, z czego naturalnie skwapliwie skorzystaliśmy i zwiedziliśmy Casablancę wzdłuż i wszerz.

Po drodze zrobiliśmy pewne odkrycie... Mianowicie przy rue de l'Aviation Francaise stoi dom oznaczony Nr. 186. Otóż w domu tym, na pierwszem piętrze, w niewielkim pokoiku mieści się czytelnia polska, która liczy obecnie około 40 członków. Czytelnia ta jest ośrodkiem całego kulturalnego życia polskiego w Casablanca a nawet w Marokku. Założoną została w roku 1932, głównie dzięki staraniom b. konsula honorowego Rzeczypospolitej Polskiej p. Konrada Rogójskiego. Ze skromnej bibljoteki i nielicznych czasopism czytelni korzystają wszyscy Polacy miejscowi i żołnierze Legji Cudzoziemskiej, którym na dalekie i niebezpieczne nieraz posterunki członkowie czytelni w swych autach prywatnych te książki rozwożą.

Polaków w Marokku znajduje się wcale pokaźna liczba. W pułkach Legji Cudzoziemskiej służy około 1.500 żołnierzy - Polaków. W Casablance mieszka 60-ciu z rodzinami, tworząc zżytą i zorganizowaną, afrykańską kolonję polską. Są to przeważnie robotnicy, którzy pośrednio przez Francję wyemigrowali do Marokka. Jest też garstka rzemieślników i inteligencji pracującej. Kilku architektów, lekarzy i aptekarzy. Warunki pracy mają tutaj dobre. Francuzi, którzy w Marokku są panami sytuacji, odnoszą się do Polaków bardzo przychylnie. Jeżeli może być mowa o jakichkolwiek trudnościach, to chyba tylko językowych.

Czytelnia polska w Casablance walczy z trudnościami finansowemi, gdyż skazaną jest na własne siły. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że młoda, będąca dopiero na dorobku i składająca się przeważnie z warstwy robotniczej, kolonja polska nie dysponuje żadnemi poważnemi kwotami, potrzebnemi na utrzymanie tej tak ważnej placówki, jaką jest czytelnia. Jednakże samopoczucie narodowe i dobra wola tej garstki ludzi sprawia, że życie społeczne rozwija się tu doskonale. W przyszłości mają zamiar przekształcić czytelnię na Klub Polski.

Skarżą się Polacy w Casablance, że Polska nic o nich prawie nie wie i nie interesuje się nimi. Był tutaj konsulat polski, ala został zlikwidowany. Czyżby utrzymanie polskiej placówki handlowej aż tak drogo kosztowało? Czy nie należałoby jej utrzymać chociażby dla obserwacji rynków tutejszych? Mam wrażenie, że możliwości eksportowe do Marokka istnieją. Bardzo intensywnie w tym kierunku pracują tutaj nasi pobratymcy Czesi, a nawet i Japończycy z Dalekiego Wschodu. Pewnie, że trudno robić zaraz stuprocentowe interesy, ale trzeba myśleć o przyszłości i już teraz przygotowywać teren.

Są jednak u nas ludzie, którzy interesują się Marokkiem. Czytałem w Casablance pewien kwestjonarjusz, w którym jakiś srogi i odważny myśliwy zapytuje się: „Czy można polować na lwy w Marokku?“

Brawo panowie! W czasach, kiedy panuje powszechnie zaraźliwa choroba narzekania na kryzys, są ludzie, których dobry humor nie opuszcza i nie mają większych zmartwień jak polowanie na lwy. Jeżeli chodzi o lwie pomysły, to mogę służyć dobrą radą:

Zamiast jechać na polowanie na lwy do Marokka, których, jak mi się zdaje, trudno by tam było znaleźć, to lepiej posłać te pieniądze na czytelnię polską w Casablance, a na polowanie pojechać do Peczyniżyna albo Synowódzka. Spełni się piękny i chwalebny czyn — a rezultat polowania będzie zapewne lepszy.

Casablanca — Ulica w dzielnicy arabskiej
Typ bogatego Araba



Pisz swoje przeżycia, korespondencje, nadsyłaj fotografje do »Polaków w całym świecie«

Otto Finkenstein
Tancerz baletu Mary Wigman - Berlin

O sztuce tanecznej rozważań kilka

Przez ciało ku prawdzie

Taniec stał się jedną ze składowych części naszego codziennego życia. Tańczymy u siebie w domu, tańczymy odwiedzając innych, a już najwięcej spotykamy się z tańcem w różnych lokalach publicznych.

Prawie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że to, co nazywamy „tańcem", należałoby właściwie nazwać „zabawą w taniec". Ten taniec towarzyski składa się z szeregu rytmicznych kroków, które, wykonywane w takt miłej i nie zmuszającej do skupienia muzyki, stanowią przyjemną zabawę ruchową tem bardziej ponętną, że nie pozbawioną większej czy mniejszej emocji erotycznej.

W kabaretach czy teatrzykach spotykamy się z drugim rodzajem tańca, z tak zwanym tańcem rewjowym. Tu już mamy do czynienia z prawdziwą pracą i wysiłkiem wykonawców, dla których najważniejszą satysfakcją i przyjemnością pośrednią są oklaski czy głosy uznania, jakiemi obdarza ich publiczność. Ta forma tańca stanowi przejście pomiędzy zabawą ruchową, zwaną tańcem, a właściwą sztuką taneczną.

Nieznaczna kultura taneczna, zupełny brak odpowiedniej propagandy u nas i niski na ogół poziom artystyczny tego co często nazywamy sztuką taneczną, sprawiły, że pojęcia tańca pokrywa się u szerokich mas w najlepszym razie z pojęciem baletu o mniej lub więcej rewjowym charakterze. Jest przy tem rzeczą ciekawą, że nie razi nas to nierozróżnianie tych trzech form tańczenia, chociaż oburzalibyśmy się, gdyby ktoś czytelnika gazety obliczonej na szeroki zbyt, stawiał na równi z człowiekiem czytującym przeciętną literaturę i człowiekiem rozczytującym się w wartościowych a dla mas często niezrozumiałych utworach literackich.

Sztuka taneczna, to taniec wyrażający uczucia przez piękne ruchy ciała człowieka. Precyzja Girls-trup i wyczyny akrobatyki tanecznej ustępują tu miejsca sile mimiczno-ruchowego wyrazu jednostki czy grupy, dyskretnemu jej pięknu wewnętrznemu, uzewnętrzniającemu się w prostych, lecz wyraźnych ruchach estetycznych, co stanowi t. zw. psychoplastykę, przemawiającą raczej do uczucia niż tylko do oka widza.

Taki taniec podobny jest do muzyki. Jak bowiem wirtuoz-muzyk, posiadający choćby najwyższą technikę, ale nie dający odczuć w grze własnej szerokiej skali psychodynamicznej, nie robi na nas głębszego wrażenia, tak samo tancerz musi mieć przedewszystkiem duszę — a potem technikę. Największa bowiem umiejętność i wiedza rozbija się o brak wewnętrznego wibrowania, o brak duszy.

Każda myśl jest niewidzialnem napięciem duszy, które stara się spełnić na zewnątrz w wyrazie fizycznym — ruchu. Ale dzisiejszemu człowiekowi nie przychodzi łatwo ta expresja. Żyje on bowiem w dynamicznych krańcowościach, jako kurczowo zesztywniały lub jako obojętnie rozprężony. Trójca: umysł — dusza — ciało stoją często w drastycznym ze sobą konflikcie. Człowiek współczesny nierzadko przedstawia się umysłowo jako bohater, du-

Kompozycja taneczna „Dziewczęca uległość"



chowo jako żebrak, a cieleśnie — niewolnik.

W parze z pięknem umysłu chodzi tęsknota ducha i cielesna brzydota. To też wbrew namiętnemu pragnieniu harmonji, umysł może ciążyć ku n. p. miłości, duch ku nienawiści, a ciało wyrażać walkę.

Te sprzeczności skłaniają człowieka do ukrycia siebie, takiego jakim jest, pod maską frazesu. Ale o ile łatwo jest kłamać słowem, bo przecież nie mamy kontroli, czy słowo odpowiada myśli i uczuciu, o tyle trudniej jest kłamać ruchem i gestem, choćby dlatego, że nie panujemy nad odruchami. To też możnaby nawet propagować odkłamywanie człowieka przez budowanie w nim prawdy od strony ciała i ruchu. W tym wypadku „słowo" (prawda) stałoby się niemal dosłownie — ciałem. W takiem ujęciu tkwią już nietylko artystyczne, ale i pedagogiczne wartości sztuki tanecznej.

Ta expresja prawdy jest postulatem sztuki tanecznej.

Przypominają mi się słowa mojej mistrzyni Mary Wigman, która niezadowolona z tancerki, odtwarzającej w kompozycji tanecznej ból, mówiła: „Nie chcę setnego wydania Niobe, proszę o pierwsze wydanie siebie". A więc odnalezienie siebie — oto fundament twórczości tanecznej.

W literaturzy często mówi się o oryginalności i szczerości. Oba te pojęcia są — pomimo namiętnych dyskusyj — dla literatów nieuchwytne i nadal pozostają literacką nieokreślonością. W tańcu oryginalność i szczerość mają jedną nazwę: prawda. Kto bowiem nie tańczy oryginalnie, ten kopjuje czyli kłamie. Szczerość i oryginalność są tu pokrywającemi się pojęciami.



Kompozycja taneczna „Słońce"

Ta prawda tańca jest nieodzownym elementem sztuki tanecznej. Żadna bowiem ze sztuk nie jest tak ściśle związana z osobowością człowieka, jak sztuka taneczna. Laikowi wydaje się często, że istnieje jeden lub wiele szablonów techniki tanecznej, które wystarczy opanować, aby być dobrym tancerzem. Sądzi on, że talent tancerza wyraża się głównie w opanowaniu technicznych trudności. Niewątpliwie opanowanie tych trudności technicznych jest alfą i omegą tańczenia, ale jest tylko tem, czem dla literata jest umiejętność czytania i pisania. Prócz tych podstaw technicznych istnieje bowiem niejako technika indywidualna, styl taneczny, który odpowiada stylowi literackiemu. O ile zaś w literaturze można dość obficie korzystać z cudzych stylów dla stworzenia wystarczających pozorów własnego oryginalnego stylu, o tyle w tańcu styl własny jest niemal równoznaczny z talentem tancerza. Reasumując, możemy powiedzieć:

Przeciętnie kulturalny człowiek lubi taniec i chętnie tańczy, bo jest on dla niego przyjemną zabawą ruchową i towarzyską. Oklaskuje taniec „rewjowy", bo zaspakaja on przeciętność naszych potrzeb estetycznych i zadziwia niejednokrotnie techniką wykonawców.

Nie rozumie jednak głębi sztuki tanecznej. A może najwyższą wartością tej sztuki jest budowanie prawdy w człowieku od realnej podstawy: przez ciało?



Rowina, tancerka grupy baletowej Mary Wigman, odtwarzająca „szalejącą boleść"

Z Jerozolimy do Jerycha...

Drogę z Jerozolimy do Jerycha odbyć można samochodem lub końmi. Nie mając jednakże do szoferów tubylczych i ich samochodów wielkiego zaufania, wynajęliśmy konie. Podróż końmi zresztą więcej odpowiada charakterowi tego kraju i epoki, którą nam przypomina.

Widok na „Górę Pokuszenia"



Do takiej podróży wybiera się zwykle dnie po dżdżystej nocy, które tutaj do połowy marca nie są rzadkością. Jako przygodny towarzysz podróży przyłączył się do nas pewien Franciszkanin z Jerozolimy, który okazał się wytrawnym przewodnikiem. Był on również bardzo zadowolony z tego, że podróży nie musiał odbywać sam, gdyż okolica ta po dziś dzień jeszcze słynie z napadów zbójeckich, a i przybysze żydowscy w bezwstydny sposób zaczepiają zakonników, obrzucając ich częstokroć nawet kamieniami.

Pozostawiając Jerozolimę z jej warownemi murami i wspaniałemi bramami po prawej stronie, skręcamy w dolinę Józefata, gdzie z pomiędzy licznych grobowców na pierwszym planie widoczny jest grobowiec Absaloma z potężnemi filarami.

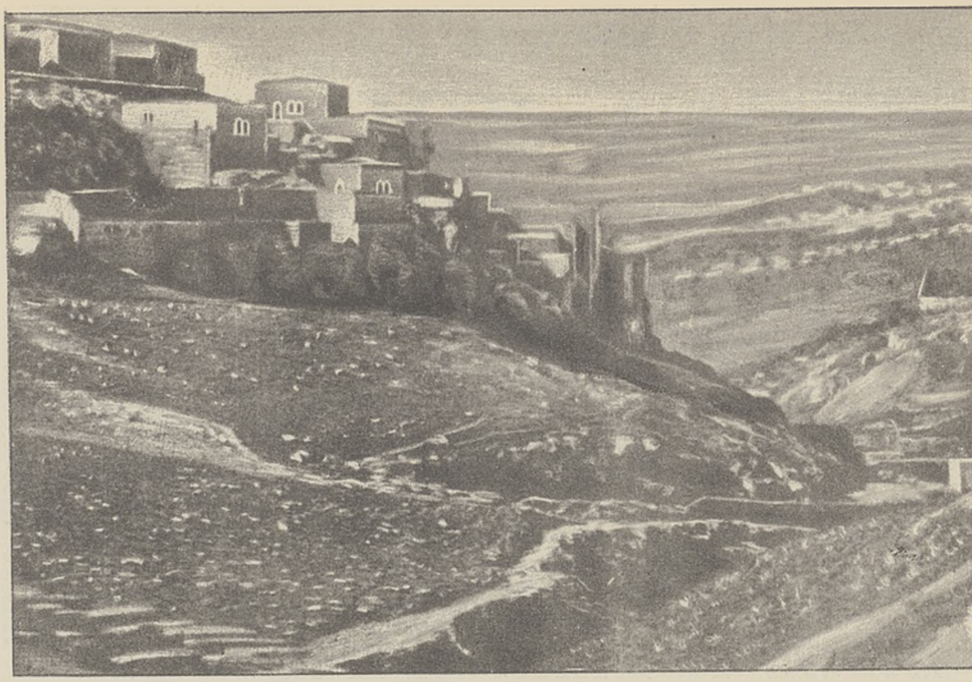
W czasie południowym przybyliśmy do Jerycha, przed którem zauważyliśmy kilka ognisk i szereg namiotów koczujących tam Beduinów, które tylko na znaczniejszą odległość roztaczają urok poezji i malowniczości, bo z bliska swoim brudem i niechlujstwem budzą wprost odrazę. Obecne miasto znajduje się w oddaleniu 20 minut od zburzonego. W języku tu-

bylczym nazywa się „Er' riho" czyli „Pachnące". Jest to może jedyne miasto orjentalne, które słusznie nosi swą nazwę. Wszystkie ulice przenika miła woń mimozy oraz kwiecia drzew pomarańczowych i cytrynowych, a ciemno-zielone zarośla przepełnione są różnorodnemi krzewami egzotycznemi. Ponad niskiemi, sitowiem krytemi domkami wznoszą się wspaniałe palmy, biało i różowo kwitnące akacje, morwy i wierzby, oraz drzewa oliwne i figowe.

Piękną i urodzajną jest kraina nad Jordanem, niestety żyzność gleby zbyt mało jest wyzyskana. Większa część tubylców woli żebrać po ulicach lub wylegiwać w słońcu, które jedyne tutaj sumiennie pracuje...

Po spożyciu obiadu w hotelu „Gilgal" wyjechaliśmy ku Morzu Martwemu. W jednej z opuszczonych chat rybackich zrzuciliśmy z siebie ubranie i poszliśmy do wody. Woda ta z powodu wielkiej zawartości soli jest tak ciężka, że nie możnaby w niej utonąć, a ma okropnie przykry smak i strasznie w oczy gryzie. Doznałem tam nawet i pewnego rozczarowania: Gdy w latach dziecięcych opowiadał mi ojciec o Morzu Martwem, lubiał dodawać: „cała okolica jest na popiół spalona; przelatujące nad nią ptaki spadają martwe na ziemię; na drzewach rosną piękne czerwone owoce, lecz gdy się po nie sięgnie, rozsypują się w pył." Romantyczych tych rzeczy jednakże jakoś nie dostrzegłem...

Po zwiedzeniu źródła Elizeusza, z którego tryska bardzo czysta i chłodna woda, rzekomo przez Elizeusza soli pozbawiona, zbliżamy się powoli ku górze, na której Chrystus 40 dni pościł i modlił się, a z której mu szatan pokazywał bogactwa ziemi. Wąskie, zygzakowate ścieżki prowadzą na strome



Dolina Józefata

wzgórze wznoszącej się w rodzaju bastjonu skały. Nieomal na szczycie skały znajduje się klasztor św. Jerzego, zbudowany przez greckich mnichów i przez nich po dziś dzień zamieszkiwany.

Po poczęstowaniu nas pomarańczami i kawą, jeden z mnichów oprowadzał nas po klasztorze, pokazując nam jego cenne poniekąd zabytki. Wspaniały i rozległy był widok na dolinę Józefata z zwiszającej na murze klasztoru altanki, zbudowanej w rodzaju gondoli z drzewa i krat żelaznych.

W drodze powrotnej zaskoczył nas szalony wicher, unoszący wielkie tumany kurzu, który zwłaszcza koniom ogromnie dokuczał. Gdy mowa o tutejszych koniach, przychodzą może niejednemu na myśl owe „Araby" krwi pełnej, o których nasłuchaliśmy się i naczytali tyle. Konie nasze jednakże przedstawiały okropny widok. Obudzające litość, wychudzone jak szkielety zwierzęta pokryte były licznemi ranami na grzbietach, spowodowanemi osiadającym się pod trokami kurzem, który w połączeniu z potem źre skórę, tworząc rany, które wskutek nieustannego tarcia krwawią i stają się coraz boleśniejsze.

Dziękowaliśmy Bogu, kiedy po 6-godzinnej „podróży" ujrzeliśmy znów światła Jerozolimy.

Jerozolima, 13. III. 1934 r.

Piotr Karwat

DR. EUGENJUSZ ZDROJEWSKI

SZKOŁA POLSKA ZAGRANICĄ

Autor poniższego artykułu, radca Ministerstwa W. R. i O. P. p. dr. E. Zdrojewski, jest znanym działaczem polskim, który przez szereg lat rozwijał energiczną działalność społeczną i oświatowo-kulturalną na terenach zagranicznych.

Redakcja.

Od piętnastu lat naród polski żyje w odrodzonem własnem państwie, borykając się nieraz z trudnościami i niedostatkiem, szczęśliwy jednak, bo niezależny. Nie całego narodu polskiego szczęście stało się udziałem. Z przeszło trzydziestu miljonów Polaków tylko $22^1/_2$ miljony przebywa na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, reszta, *blisko 8 miljonów*, znajduje się poza jej granicami. Ta wielomiljonowa rzesza Polaków na obczyźnie składa się z $2^1/_2$ miljonów zamieszkałych w krajach ościennych na terenach pozostałych poza granicami państwa polskiego, z blisko miljona emigracji w Europie i 4 miljonów poza Europą.

Rzecz prosta, że we wszystkich tych skupieniach polskich, czy to na terenach etnograficznie polskich, czy na obszarach podlegających imigracji zarobkowej, istnieje niebezpieczeństwo wynarodowienia. Obcy język, rozlegający się dookoła, obca kultura, promieniująca z coraz większą siłą, niosą ze sobą groźną możliwość, iż Polak na obczyźnie straci swe poczucie narodowe, zapomni języka ojczystego i wejdzie w krąg niepolskiej kultury. Jeżeli to niebezpieczeństwo jest wielkie dla wszystkich Polaków zagranicą, to katastrofalnem być może dla dziatwy i młodzieży polskiej. A nie trzeba zapominać, że tej polskiej dziatwy w wieku szkolnym zagranicą przy ośmiu miljonach Polaków jest co najmniej miljon.

Jakież są sposoby, ażeby zabezpieczyć młode pokolenie wzrastające na obczyźnie od zatraty własnej narodowości, od stawania się poprzez okres przejściowy półpolskości Francuzami, Niemcami, Amerykanami?

Sposobami temi są takie formy postępowania, aby zachować w każdem dziecku polskiego pochodzenia trzy cechy jego narodowości — poczucie narodowe, stałe i codzienne władanie językiem polskim i przynależność do polskiej kultury. Cechy te u dorosłego człowieka mogą być zachowane dzięki należeniu do polskich organizacyj, czytaniu polskich książek, uczęszczaniu do polskiego teatru, na odczyty i t. d., co nie wystarcza jednak przy akcji utrzymania narodowości młodego pokolenia, które o ile będzie uczęszczać do obcej szkoły, może się wynarodowić, zanim jeszcze będzie mogło należeć do polskiej organizacji i czytać polską książkę.

To też, jeśli chcemy, aby Polacy zagranicą nie wymarli wkrótce na uwiąd



Nowy zarząd Polskiego Towarzystwa Orjentalistycznego w Charbinie

Siedzą: F. Ożdżeński, H. Pelcowa, inż. K. Grochowski (prezes), A. Łyżwa, W. Pelc.

Stoją: G. Sadkowski, H. Kopaliński, K. Żeleźniak.

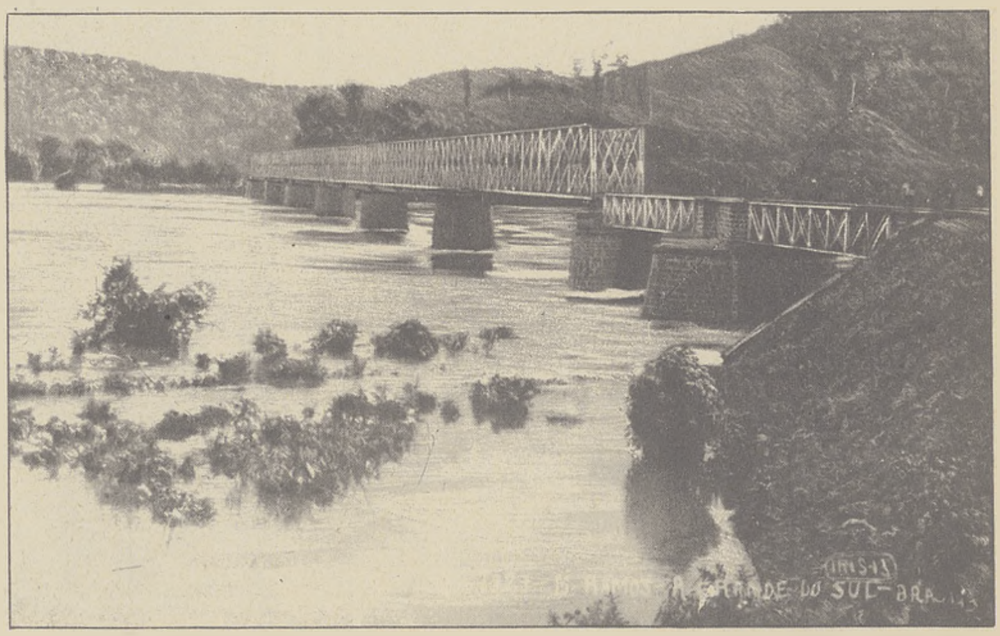
starczy, aby po dzisiejszem polskiem pokoleniu nie przyszło drugie, już tylko półpolskie, a za niem trzecie — niepolskie, musimy na pierwszy plan wszelkiej akcji kulturalnej zagranicą postawić wychowanie dzieci w języku i duchu polskim, a więc ochronkę i szkołę polską.

Trzeba jasno zdać sobie sprawę, co należy rozumieć pod pojęciem szkoły polskiej. Tą szkołą, która zapewnia zupełne utrzymanie polskości, jest szkoła z całkowitem nauczaniem w języku polskim przez nauczycieli Polaków przy uwzględnieniu, rzecz prosta, w szerokiej mierze nauki języka miejscowego. Nie wszędzie taką szkołę mieć możemy — w wielu wypadkach czy to zpowodu trudności prawnych czy finansowych trzeba się ograniczyć tylko do nauki języka polskiego w szkole obcej lub poza szkołą. O ile innego wyjścia niema i na tem trzeba poprzestać, zdając sobie sprawę z niewystarczalności tego sposobu wobec przemożnego wpływu szkoły obcej i dążąc wobec tego usilnie do całkowitej szkoły polskiej.

Przyjrzyjmy się teraz w krótkim zarysie, jak przedstawia się szkolnictwo

Most łączący stan Santa Catharina ze stanem Rio Grande do Sul

Przez ten most jechał marszałek Raczkiewicz z Parany do Rio Grande do Sul



polskie w obcych krajach zamieszkałych przez Polaków.

W poszczególnych państwach sąsiadujących z Polską położenie szkolnictwa polskiego jest różne. W dwuch z nich, to jest w Niemczech i Litwie, zarówno rząd jak i społeczeństwo miejscowe utrudnia w wielkiej mierze zaspokojenie potrzeby kształcenia dzieci w języku polskim, w innych jak Czechosłowacji i Łotwie sytuacja przedstawia się lepiej.

W Niemczech, gdzie mieszka 1 300 tysięcy Polaków, liczących co najmniej 130.000 dzieci w wieku szkolnym, do roku 1928 wogóle z wyjątkiem Śląska Opolskiego nie można było zakładać szkół polskich i musiano się wtedy ograniczać do ochronek i kursów języka polskiego. Począwszy od roku 1929 założono 60 polskich prywatnych szkół powszechnych, a w roku 1932 gimnazjum w Bytomiu; po za tem istnieje kilkanaście polskich szkół publicznych powszechnych na Śląsku, przeszło sto kursów języka polskiego i dwadzieścia kilka ochronek. Ogółem w roku szkolnym 1933/34 kształci się po polsku lub uczy języka polskiego 6255 dzieci, co stanowi jednak tylko $4^{1}/_{2}\%$ wszystkich dzieci polskich w wieku szkolnym — reszta t. j. 95% chodzi do szkoły niemieckiej, nie słysząc nawet dźwięku mowy ojczystej.

W Czechosłowacji sytuacja jest lepsza — istnieje tam szkolnictwo polskie publiczne i prywatne z nauczycielami i inspektorami Polakami — szkoły powszechne, wydziałowe i gimnazjum w Orlowej, liczące razem około 13.000 uczniów, a więc przeszło połowę dzieci w wieku szkolnym.

Na terenie Rumunji przez pewien czas było bardzo źle — wszystkie dzieci musiały uczyć się w języku obcym; w ostatnich kilku latach powstało kilkanaście polskich prywatnych szkół powszechnych z półtora tysiącem uczniów i gimnazjum w Czerniowcach, a w niektórych szkołach publicznych wprowadzono język polski jako przedmiot nauczania; ogółem około 20% dzieci uczy się po polsku.

Związek Socjalistyczny Republik Radzieckich daje wprawdzie Polakom tam zamieszkałym szkołę w języku ojczystym, ale wychowanie jest prowadzone w kierunku antynarodowym.

Łotwa do roku 1931 traktowała przychylnie sprawę szkolnictwa polskiego, od tego czasu jednak stosunki się pogorszyły przez zamknięcie kilkunastu szkół; w każdym razie istnieją tam 33 szkoły powszechne i 3 gimnazja o pięciu tysiącach uczniów, zapewniając połowie dzieci polskich naukę w języku ojczystym.

Litwa stanowi obok Niemiec drugi z krajów ościennych uciskających szkolnictwo polskie — polskich szkół publicznych niema zupełnie, są tylko prywatne szkoły powszechne w ilości 14 o 453 uczniach oraz 3 gimnazja o 551 uczniach; ilość dzieci korzystających z nauki polskiej wynosi zaledwie parę procent, reszta uczy się wyłącznie po litewsku.



Ulica Chińska w Charbinie w czasie powodzi

Na zachodzie Europy główne skupienie wychodźtwa polskiego stanowi Francja. Pomimo przyjaźni polsko-francuskiej nie doszło tam do możności otwierania szkół polskich, istnieje tylko nauka języka polskiego w szkołach państwowych lub fabrycznych od 2 do 15 godzin tygodniowo; korzysta z niej około 24.000 dzieci w 240 szkołach; po za tem jest 45 ochronek o 3 tysiącach dzieci. Znacznie lepiej przedstawiała się sprawa w Belgji i Holandji, gdzie mogą istnieć normalne szkoły polskie: niestety ilość ich zmniejszyła się ostatnio do 5 o 514 uczniach, a po za tem istnieją kursy języka polskiego liczące około tysiąca uczniów. W innych skupieniach polskich w Europie są tylko kursy języka polskiego.

Ze skupień zamorskich i wogóle zagranicznych najliczniejszem są Polacy w Stanach Zjednoczonych; tu z półmiljonowej rzeszy dzieci polskich 276 tysięcy uczęszcza do 572 szkół parafjalmych, gdzie jest wprawdzie prowadzona nauka języka polskiego, lecz inne przedmioty są wykładane po angielsku, a reszta do szkół amerykańskich, przyczem tylko 15.000 korzysta z popołudniowych kursów języka polskiego.

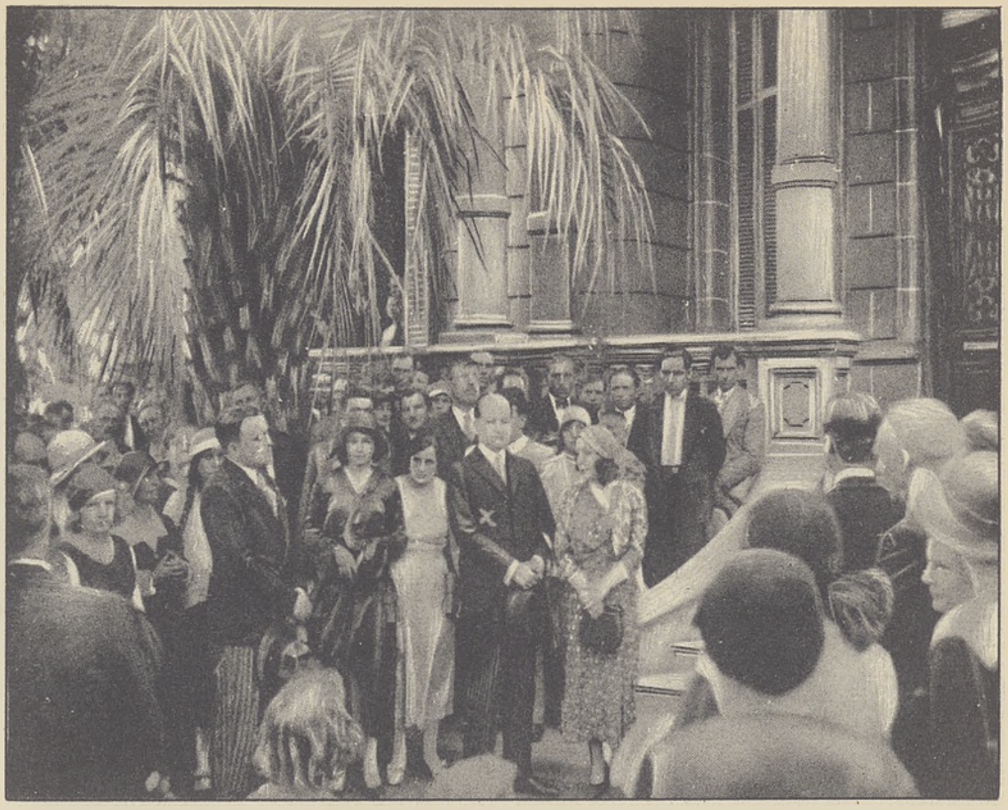
W Południowej Ameryce sytuacja przedstawia się lepiej w Brazylji, gdzie istnieją 533 szkoły polskie o 11.000 uczniach, a więc połowie dzieci polskich. Gorzej jest w Argentynie, gdzie są tylko kursy języka polskiego.

Główna ulica w Charbinie zalana wodą rzeki Sungari



Gdybyśmy zesumowali wszystkie cyfry odnoszące się do szkolnictwa polskiego zagranicą, to przekonalibyśmy się, że z miljona dzieci polskich zaledwie około 65.000 uczy się całkowicie w języku polskim jako języku nauczania, około 35.000 uczy się napół po polsku, a około 300 000 uczy się języka polskiego, resztę nauki pobierając w języku obcym. Inaczej mówiąc tylko 10% uczy się w języku polskim, 30% języka polskiego, reszta 60% w najmniejszej mierze nie zaznajamia się z językiem ojczystym.

Z powyższego widać, jak wielkie zadania czekają społeczeństwo polskie z jego organizacjami tym sprawom poświęconemi, jak Radą Organizacyjną Polaków z Zagranicy, aby sprostać wielkiemu zadaniu obrony polskości młodego pokolenia na obczyźnie przez najlepiej temu celowi odpowiadające instytucje — ochronkę i szkołę polską. Niewątpliwie omówienie sposobów realizacji tych zadań będzie przedmiotem obrad zbierającego się w sierpniu r. b. II Zjazdu Polaków z zagranicy, a następnie jedną z trosk mającego być powałanym do życia na tym zjeździe Światowego Związku Polaków.



Dom Polski w Buenos Aires
Przed domem stoi m. in. poseł R. P. w Argentynie Wł. Mazurkiewicz z małżonką

Szkolnictwo polskie w Rumunji

Zarząd Polskiego Związku Szkolnego w Rumunji ogłasza w swem ostatniem rocznem sprawozdaniu dane, dotyczące szkolnictwa polskiego w Rumunji.

Zagadnieniem naczelnem, które Polski Związek Szkolny stara się rozwiązać, jest krzewienie oświaty wśród dzieci w wieku szkolnym, pielęgnowanie języka polskiego, oraz szerzenie kultury wśród Polonji rumuńskiej. W pracy ściśle szkolnej Związek pracuje w myśl wskazań Ministerstwa Oświaty w Bukareszcie, starając się, aby młodzież polska wyrastała na lojalnych obywateli Rumunji, nie tracąc łączności duchowej z Polską.

Związek nie ustaje w staraniach, celem umożliwienia dziatwie polskiej nauki języka polskiego w tych miejscowościach, w których, zgodnie z ustawami krajowemi, istnieje wymagana ich liczba. Zadanie to nie jest łatwe, skutkiem niejednolitego traktowania tych spraw przez czynniki lokalne, tak, że Związek niejednokrotnie musiał się odwoływać do władz centralnych w Bukareszcie.

Polski Związek Szkolny prowadzi 6 szkół powszechnych.

Na początku roku szkolnego 1933 34 nastąpiła w szkołach państwowych redukcja, wzgl. przeniesienie części polskich sił nauczycielskich przez państwowe władze szkolne Skłoniło to P. Z. S. do podjęcia kroków zaradczych, których wynikiem było do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy tymczasowe mianowanie nauczycieli polskich w tych miejscowościach, w których wspomniane zmiany nastąpiły.

Troską stałą Związku jest niesienie wydatnej pomocy i opieki szkołom, zarówno przezeń prowadzonym, jak i pozostającym z nim w łączności zarówno pod względem materjalnym, jak i moralnym, zaopatrywanie je w nowoczesne pomoce naukowe i t. p.

W ubiegłym roku P. Z. S. uruchomił 4-klasowe gimnazjum, do którego uczęszcza 84 uczniów. Personel pedagogiczny liczy 15 sił nauczycielskich. Związek stara się gimnazjum to postawić na jaknajwyższym poziomie, równocześnie zaś umożliwić młodzieży kończącej przejście do państwowych zakładów naukowych. Celowi temu ma służyć nauka języka rumuńskiego, prowadzona przez fachowych pedagogów.

Należy dodać, że podjęcie się prowadzenia gimnazjum oznacza wielki wysiłek finansowy ze strony Związku, tembardziej, że uczęszcza doń młodzież niezamożna, w większości zwolniona z opłat.

Bardzo dużą wagę przywiązuje Związek do sprawy kształcenia nauczycieli. W lecie roku ub. z upoważnienia Min. Oświaty odbył się 3-tygodniowy kurs języka polskiego, w którym wzięło udział 31 sił nauczycielskich oraz założono bibljotekę pedagogiczną dla użytku nauczycielstwa.

Z działalności pozaszkolnej Związku wymienić należy stworzenie ruchomej bibljoteki dla młodzieży, współpracę i pomoc, udzielaną harcerstwu i wychowaniu fizycznemu, oraz zajęcie się oświatą pozaszkolną przy pomocy nauczycielstwa.

Z dniem 1 kwietnia r. b. został otwarty **w Gdyni ul. Świętojańska 82 (Tel. 1219)** Oddział Wydawn. „Polaków w całym świecie" na Pomorze i Gdańsk. Pełnomocnym kierownikiem Oddziału jest p. Redaktor **Michał Morena.** Oprócz tego pod kierownictwem p. Moreny znalazł się dział reklamowy „Polaków w całym świecie" i w tym zakresie p. red. Morena jest wyłącznym i pełnomocnym przedstawicielem naszego Wydawnictwa na terenie całej Rzeczypospolitej.

Wydawnictwo Dwutygodnika Ilustrowanego
„Polacy w całym świecie"
Centrala — Król. Huta, ul. Hajducka 15

Moje wrażenia z pobytu marsz. Raczkiewicza w Porto Alegre

W zeszytach 3, 4 i 5 zamieściliśmy opisy z podróży p. marszałka Raczkiewicza. Opisy te pochodziły z pod pióra jednego z towarzyszy podróży p. Marszałka. Obecnie zamieszczamy opis, pochodzący od miejscowego uczestnika w przyjęciu p. Marszałka w Rio Grande do Sul. Wrażenia te wskazują, jakie uczucia napełniały Polaków w Południowej Ameryce na widok p. Marszałka i jakie znaczenie miał przyjazd p. marszałka Raczkiewicza do polskich kolonij w Ameryce Południowej.

Redakcja.



Casablanca

Nouvelle Medina (Nowe miasto arabskie) Piękna brama arabska

Wychodźtwo polskie w Ameryce Południowej przeżywało niewątpliwie chwilę historyczną, moment symboliczny, przyjmując na ziemi „*Krzyża Południa*" gościa w osobie p. marszałka Raczkiewicza.

Szczególnie wielka radość panowała wśród polskiej kolonji w stanie Rio Grande do Sul, powszechnie zwanej Ziemią Gauchów, gdzie odwiedziny wybitnych osobistości są rzadkością. Mimo to sławny kapitan Stanisław Skarżyński lądował dwa razy w Porto Alegre i wyraził się bardzo pochlebnie o kolonji portoalegrańskiej. Bo też polscy portoalegreńczycy, to szczególny typ ludzi, bardzo odważny, ambitny, no i niejednokrotnie awanturniczy, choć cechę ostatnią przyswoił sobie od tam zamieszkałych „gauchów", dla których życie bez rewolucji nie miałoby żadnego uroku. Walkę o pierwszeństwo, o wyróżnienie ich od Polaków, parańskich toczą już od szeregu lat i w tej walce się zahartowali. Jedni uważają, że polscy gauchowie dążą do separatyzmu, rozbijając jedność narodową w Brazylji; ja ze swej strony widzę w tej walce to konieczne zło, które podtrzymuje ich polski stan posiadania. Pamiętać bowiem należy, że pod względem liczebnym zajmują Polacy w Rio Grande do Sul 4-te miejsce, przeciwstawiając się wielkiej liczbie Niemców i Włochów którzy wobec Polaków są wręcz wrogo usposobieni.

Na wieść o przyjeździe p. marszałka zawrzało w całym stanie, jakby w ulu a szczególnie w Porto Alegre, stolicy stanu Rio Grande do Sul, gdzie marszałek przebywać miał kilka dni. Sam brałem udział w komitetach przyjęcia i dziś jeszcze cenię plan opracowania. Nie miało to być jakieś zwykłe przyjęcie, lecz całe powitanie miało się w stosownej chwili przeobrazić w olbrzymią manifestację narodową wobec tam zamieszkałych Niemców. Plan istotnie został zrealizowany. Przychylność władz brazylijskich, która oddała do dyspozycji marszałka osobny wagon oraz zamieściła nader pochlebne wzmianki w prasie brazylijskiej o marszałku i Polsce, wszystko to szło nam na rękę.

Wreszcie nadeszła chwila przyjazdu. Już wczesnym rankiem gromadziły się w halach dworca portoalegreńskiego tłumy Polaków, roiło się od organizacyj, sztandarów — wszystko w naprężeniu czeka na dostojnego gościa. Dworzec w Porto Alegre przypominał wtedy stację warszawską. Słychać gwizdy i zwolna wsuwa się do hali olbrzymie cielsko lokomotywy pokrytej czerwonym kurzem — znać, że przebyła daleką drogę (odległość Porto Alegre od Kurytyby wynosi 1600 km).

Marakesz — Wielbłąd na pustyni



Pociąg przystanął. Z wagonu salonowego wysiada dostojna postać marszałka. Widać w nim całą ucieleśnioną Polskę. Jeden gromki okrzyk: „Niech żyje" rozpruwa powietrze. Witają go przedstawiciele organizacyj, dziewczęta wręczają bukiety kwiatów — wszystko w ruchu, każdy chce zobaczyć marszałka. Osobno witają marszałka przedstawiciele rządu stanowego. Marszałek zajmuje miejsce w samochodzie — za nim Polacy — ulicami stołecznego miasta Rio Grande do Sul ciągnie się długi łańcuch samochodów — a na czele poczty sztandarowe... To demonstracja ducha polskiego na ulicach gauchańskiego miasta wobec tu zamieszkałych Niemców.

Wieczorem tego samego dnia odbyło się przyjęcie w lokalu polskiego Patronatu, w którym mieści się siedziba Związku Zrzeszeń Polskich na stan Rio Grande do Sul. Małe sale nie mieściły liczby delegatów ze wszystkich stron stanu przybyłych, aby złożyć marszałkowi postulaty szczególnie natury społeczno-oświatowej, bo to zagadnienie stało się aktualne od chwili, kiedy nader w ciężkich warunkach rozpoczęli swoją pionierską działalność instruktorzy oświatowi. Nie obyło się na zebraniu bez powiedzenia prawdy i demagogji, która wkradać się zaczyna w ostatnim czasie na teren działań społeczno-oświatowych. Głównym postulatem, a mianowicie sprawą uru-

chomienia konsulatu w Porto Alegre przyrzekł zająć się p. marszałek.

Następnego dnia oczekiwała kolonja marszałka w domu Tow. „Polonia“, na ulicy Saô Pedro, położonej w dzielnicy Saô Jaô, najliczniej zamieszkanej przez Polaków. Tutaj mieści się polska szkoła i z tego miejsca promieniuje polski duch. Sala szczelnie wypełniona była, tak że ludzie stali nawet na ulicy. Marszałek mówi; wszystkim przypomina się ziemia rodzinna, kraj zamorski, hartuje się duch dla dobra kolonji polskiej w Rio Grande do Sul, mówi wreszcie o morzu polskiem, o Bałtyku, o falach i po cichu ściskają się pięści — „Niech spróbują zabrać Pomorze“. Jednogłośnie uchwalono tedy rezolucję, że Polacy w Rio Grande do Sul stoją wiernie na straży granic R. P. i nie pozwolą ruszyć ani piędzi ziemi polskiej. Przez salę płyną melodje polskiej pieśni legjonowej, wiązanka pieśni żołnierskich. Tutaj, wśród Was zastałem ostatnią twierdzę polskości, jesteście najbardziej na południe w Brazylji wysuniętą placówką polską i dlatego starać się będziemy, aby wzmocnić polski stan posiadania — mówił p. marszałek. Jako dowód wręczył marszałek na budowę Kolegjum im. Józefa Piłsudskiego kwotę 500 milrejsów i taką samą sumę na budowę polskiego kościoła. Jak wiadomo z prasy polskiej, kolegjum polskie w Porto Alegre zaczęto już budować a kościół znajduje się na ukończeniu.

W następnym dniu odwiedził marszałek osobno polską szkołę i spędził wśród dziatwy parę miłych chwil. Na pamiątkę tego pobytu dokonano zdjęcia fotograficzne, które następnie ukazały się w największych dziennikach brazylijskich w Porto Alegre jak np: „Correio do Poco“, „Jornal da Mannâ“, „Diario de Noticia“. Również odwiedził marszałek miejsce, na którem stoi już zaczęta budowa kościoła. Wszystkie te budowy dokonano w Porto Alegre w ostatnich latach a pobyt p. marszałka niewątpliwie przyśpieszył wykończenie ich.

Żegnany wielkim entuzjazmem przez kolonję z Porto Alegre opuścił marszałek stolicę „gauchów“, udając się dalej na południe do Argentyny.

Dla mnie pobyt marszałka w Porto Alegre pozostanie nigdy nie zapomnianym, a dla całej kolonji był niewątpliwie symbolicznym aktem. *x y.*

Michał Rusinek

Skończona Serja...

Miał pokój od tyłu, na trzeciem piętrze.

Jedyne okno wychodziło na podwórze urzędowego budynku. Podwórze i nie podwórze. Taki ogród właściwie.

Szkielet ogołoconych z liści drzew wplatał się codzień w srebrny prostokąt okna, rozciągał rachityczne członki na czarnym krzyżu okiennic.

Kołysały go czasem chłodne dłonie jesiennego wiatru.

To okno miał zawsze zamknięte, bo się wrony darły na piszczelach zamarłego kasztana.

A pan oficjał nie lubił wron. Lubił wszystko od muchy i pająka począwszy, ale nie lubił wron.

Więc zawsze zamykał okno.

To też przęśmierdł całkiem pokój cygarowym dymem, nasiąknęły nim wszystkie sprzęty i odrapana tapeta ścian.

Ale najbardziej napęczniało tytoniowym dymem biurko. Wstrętny zaduch powtulał się w stosy aktów i szpargalisk.

A do tego była w biurku jedna dziwna szuflada. Po lewej stronie na dole.

Wszystkie zamykał na klucz, ale tę dolną z lewej strony najtroskliwiej ze wszystkich.

Bo były w niej cenne rzeczy.

A więc bronzowe pudełeczka drewniane z kolorowemi etykietkami. Małe i duże. Różne.

Pudełka z cygar.

Niegdyś leżały w nich pachnące tytoniowe kluski, niby bronzowe banany. Dziś każde z nich napełnione było niedopałkami cygar. Zwyczajnemi odgryzkami.

Bo pan oficjał lubił składać odgryzki.

Nikt nie wiedział, dlaczego to robił, bo zresztą i on sam nie wiedział. Składał, bo składał. Począwszy od najszlachetniejszych zbiorów, jakiemi były marki pocztowe krajowe i zagraniczne, Gwadelupy, Hondurasy, Austrje z „lakstreifami“, Nyassy i ukochany Helgoland, a skończywszy na starych kluczach i gwoździach.

Wszystko zbierał.

Guziki z herbami i bez herbów. Kościane. Zwyczajne. Zbierał stare obcasy znalezione na ulicy, śrubki od końskich podków i same podkowy, sznurki zwykłe i dwukolorowe, agrafki, stare imadełka od podwiązek i szelek i korki z flaszek, jeśli nie były przewiercone spiralą korkociągu.

Nie zbierał tylko starych stempli, do których czuł niezwalczoną odrazę jako zamiłowany filatelista.

Wszystkie te zbiory, częściowo zinwentaryzowane, przechowywał w szafach i paczkach pod zamknięciem w domu. Tu w biurze miał tylko tę jedną szufladę.

Cuchnącą, jakgdyby się stale paliły w niej zabrudzone szmaty.

A to te pudełeczka drewniane, bronzowe z kolorowemi etykietkami. Małe i duże. Różne.

Ale nie z powodu nich pan oficjał zamykał tak troskliwie szufladę.

Miał w niej jeszcze inną rzecz. Najcenniejszy ze wszystkich zbiór. Jedyny.

Nie mógł go mieć wysłużony pułkownik z trzeciego piętra ani emerytowany radca Łatkiewicz, który miał wszystkie serje starej Austrji, każda nawet z nietkniętemi ząbkami.

Bo to był zbiór wyłączny, własny pana oficjała.

Zbiór jego zębów.

Miał ich trzydziesci jeden w tej szufladzie, każdy w okładzince z białego papieru. Z urzędowego papieru.

Był to jedyny wypadek, kiedy pan oficjał kradł dla prywatnych celów urzędowy papier. Kiedyindziej, czy to na list, czy podanie przynosił zawsze z domu, swój własny prywatny. A tylko do tych zębów brał urzędowy, ten z trzema gwiazdkami pod światło. Dlatego, że to niby, śmieszna rzecz, zęby te zjadł na urzędowej pracy.

Do zbioru zaglądał pan oficjał rzadko. Tylko, gdy trzeba było uzupełnić go nowym nabytkiem. A więc częściej w ostatnich czasach.

Ilekroć wyłamał mu się ząb, gdziekolwiek, czy to dawniej, za życia żony, na „wołowej“ w domu, czy obecnie na parówkach w knajpie, czy gdzieindziej jeszcze, pan oficjał przynosił go następnego dnia do biura, aby go z pewnym smutkiem złożyć do zbioru.

I był to znowu jedyny wypadek w biurze, kiedy prywatna czynność była ważniejsza niż czekająca na załatwienie urzędowa „liczba“.

Ząb miał pierwszeństwo przed intymatem władz centralnych.

Pan oficjał przyszedłszy w takich razach do biura zamykał jak zawsze, jeśli to było lato, okno, a jeśli to była zima, macał piec i zasiadał do biurka. Patrzył jeszcze chwilkę na kasztan wyciągający do niego czarne ręce poprzez jasność szyb, poczem brał ćwiartkę owego papieru z trzema gwiazdkami pod światło. Nożyczkami obcinał równiutko. Żeby nie było strzępków, bo szef tego nie lubi.

Chociaż szef nie miał przecież w tych rzeczach nic do gadania.

Potem wysuwał koniuszek języka między zesznurowane wargi i pisał na tej ćwiartce papieru.

Tak na przykład:

„Nr. 30. Trzonowy górny. Drugi z prawej strony od tyłu. Plombowany dwa razy. Bolał trzy dni od 10. do 13. grudnia. Nie dało się ratować. Dr. Wiercik wyjął go po zatruciu nerwa 13. grudnia 1932 r“

Albo tak znowu:

„Nr. 31. Kieł dolny z lewej strony. Nigdy nie plombowany. Podgryziony kamieniem. Wyłamał się na indyku u Łatkiewiczów. W poniedziałek Wielkanocny 1. kwietnia 1933. Po tym siekaczu górnym najbardziej na niego liczyłem“.

Potem szedł w kąt pokoju za szafę do miednicy stojącej na pajęczych białych nogach z żelaza i mył zęba w wodzie. Opłukiwał go skrupulatnie, jak naprzykład Bawarję jubileuszową albo wojenną Austrję za 10 koron z Karolem, lub choćby i zwyczajne śmiecie, szutr pospolity, zielone Ameryki. Takie co to 20 groszy daje Liebeskind za setkę.

Ale porządnemu zbieraczowi to jak kochającej matce każde dziecko za równo. Więc koło wszystkiego chodził z jednakową troskliwością.

Wysuszywszy okaz bibułą, robił z owej ćwiartki papieru, na której był akt zejścia zęba, składaną kopertę, pisał na niej w prawym rogu u dołu czerwonym ołówkiem numer porządkowy (każdy akt winien mieć numer dwa razy, na zewnątrz i wewnątrz) i wkładał zęba do koperty.

Patrzył znów chwilę w czarną rózgę kasztana.

Potem wzdychiwał ciężko i otwierał szufladę biurka na lewo u dołu...

Z biegiem lat wypełniała się serja.

Były już wszystkie trzonowe z dołu i z góry, z prawej i lewej strony. Były kły górne i dolne z przodu lśniące żółtością, wyłuskane od tyłu. I poszczerbane siekacze, starte w pracowitym młynie szczęk, wysługującym siódmą dziesiątkę lat.

Tylko jeszcze ten górny siekacz wisiał uparcie jak sopelek obciętego lodu, przyczepiony do czerwonej groty dziąseł. Bał się białej trumienki z papieru, która czekała nań w czarnym grobie urzędowej szuflady.

Bał się też tego język pana oficjała. Codzień rano, gdy się budziła ze snu siwa głowa urzędnika, budził sie także język. Koniuszek jego wysuwał się delikatnie naprzód i sprawdzał, czy mu zagradza jeszcze drogę do pomarszczonych warg ten kamyczek zwisający z górnej szczęki.

A gdy napotkał nienaruszoną polerowaną ściankę, cofał się w radosnym spaźmie wtył i ciągnął za sobą szeroką linję ust.

Pan oficjał uśmiechał się z zadowolenia. Z radości, że to jeszcze nie musi pisać ostatniej w życiu ćwiartki papieru, tego z trzema gwiazdkami.

Bo pan oficjał kochał tego górnego zęba.

Odkąd zapłacił rachunek za pogrzeb swojej żony, odkąd pił herbatę na wieczór i kupował sam bułki w sklepiku, odkąd nie jeździł na komisje, ten siekacz górny był dla niego wszystkiem.

Więcej nawet znaczył niż dwa czerwone, wyzłacane po brzegach albumy zagranicznych znaczków i granatowe tarcze pluszowe z mundurowemi guzikami napoleońskiej armji.

Cennym był bardzo ten ostatni siekacz górnej szczęki, ustawiony za dnia w szeregu sztucznych zębów.

A był właściwie nieużyteczny. Utrudniał tylko spożywanie pokarmów. Pan oficjał bowiem, ilekroć brał cokolwiek do ust, drżał o zęba. Wyszkolonym języczkiem przerzucał delikatnie kąski z lewej strony na prawą, omijając uważnie owy przytarty wiekiem kamyczek.

Bo to przecie zawsze ostatni już ludzki ząb u człowieka.

Mówił czasem do woźnego biurowego, który miał także pięć tuzinów lat za pazuchą.

— Tak to już jest, Wincenty! Póki ząb siedzi w gębie to i ludzi szanują. Po tyl człowieka, póki zęba w gębie.

Niekiedy przywołał woźnego bliżej okna i kazał sobie patrzeć w usta.

— Siedzi? — pytał.

Woźny zaglądał w czerwoną czeluść ustnej jamy pana oficjała, mrużył oczy niby, żeby to lepiej dojrzeć i mówił:

— Siedzi, panie tego, to twarda cholera...

Pan oficjał klepał w takich chwilach woźnego po wypukłym grzbiecie i śmiał się na głos.

Już go nawet wtedy i te wrony za oknem mniej złościły niż zwykle.

Ale były to już rzadkie chwile wesołości.

Od ostatniego bowiem zęba, wyłamanego u Łatkiewiczów, coraz większy smutek zasiadał w stosie aktów na biurku pana oficjała.

Krzykliwsze były wrony za oknem. Pióro urzędnika piszące urzędowe liczby, coraz częściej zatrzymało się w połowie wiersza i pan oficjał zapuszczał posępny wzrok w trzewia zapruszonych szpargalisk.

Były chwile, że tak siedział bezczynnie kwadransami całemi przy biurku.

Zwykle dopiero zgrzyt drzwi na korytarzu wyrywał go z tej zadumy. Mechanicznie puszczał wtedy dalej w ruch zawieszone nad arkuszem pióro i pochylał niżej kipiący nad zielonem suknem tułów.

Bo nuż to szef nadchodzi?

A pan oficjał bał się zawsze szefa. Od najmłodszych urzędniczych lat. Bał się, gdy był bezpłatnym praktykantem przed 35 laty, bał się, gdy z dyplomem rejestratora owijał esem ciała urzędowy pulpit z księgami i bał się dziś, gdy jako stary oficjał miał nawet swój osobny pokój.

Bo szef to zawsze szef..

Zwykle jednak zgrzyt drzwi wprowadzał woźnego Wincentego. Rano z przydziałką poczty, o jedenastej z herbatą.

On jeden oprócz tych wron gadał czasem z panem oficjałem.

Szczególnie gdy przychodził z herbatą. Wtedy bowiem przynosił znaczki pocztowe poodrywane z kopert codziennej poczty, wyłowionych z dyrektorskiego koszyka.

Urzędnik dziękował zawsze woźnemu, obmacywał każdy znaczek osobno, choć to było pospolite śmiecie, bo woźny co lepsze zatrzymywał dla swego syna gimnazjalisty, i rozgadywał się czasami.

I dziś też, schowawszy kopertę ze znaczkami do głębokiej kieszeni pod pachą, dorzucił:

— Tak to jest, Wincenty, z człowiekiem jak ze znaczkiem pocztowym...

Woźny nie dziwił się bynajmniej owemu porównaniu, tylko ten głos pana oficjała wydał mu się jakiś jeszcze smutniejszy niż w ostatnich dniach.

— E, tak pan oficjał teraz zawsze dziwnie zagaduje. A niby co, panie tego?

Pan oficjał odwijając z bibuły przyniesiony do biura rożek maślany do herbaty, mówił:

— Tak, Wincenty, z człowiekiem jak ze znaczkiem. Ze zwykłym znaczkiem, bo nie mówi się o Hannowerze czy starej Helwecji, czyli o ważnych ludziach. Tylko, rozumie się, o zwykłych. Póki jest w obiegu niestłoczony pieczęcią, to go każdy szanuje, głaska, językiem podlizuje. Nawet w portfelach robią schowki na niego. A potem, jak ci go grzmotnie jaki manipuła pocztowy w łeb pieczęcią, to szlus. I filatelista go nie uszanuje, chyba tak tylko, na warjata, bo tych trupków jest na setki miljonów. Więc co?

Rzucił to pytanie przez parkan sztucznych zębów, poczem zamoczył rożek w herbacie i ciągnął dalej:

— Więc co? Nic. Poniewierka, zapomnienie i koniec. Do kosza. A jeszcze jak do tego taki szpargał nie ma ząbków. Liebeskind, jak natrafi taki jeden w setce, to i te 20 groszy za paczkę djabli wzięli. I znaczek bez zębów, jak człowiek nic, na śmietnik.

— E, pan oficjał zawsze z temi zębami.

Urzędnik rozpłaszczył na sztucznych zębach miazgę nasiąkniętego herbatą rożka, omijając ostrożnie tego „własnego“ siekacza i skrzeczał dalej:

— A bo w zębach jest sęk, Wincenty! Koń bez zębów nic. Człowiek bez zębów nic. Znaczek nic. Albo i... maszyna bez zębów też nic!

— E, maszyna znowu — przeczył woźny — u mych ojców w Hryniówce była, panie tego, sieczkarnia bez czterech zębów, a świnie się i tak chowały.

— Ale podrywało, jakeście słomę rżnęli?

— Przy słomie nie, panie tego, bo to letko idzie. Przy koniczynie, takiej z pod sierpa, to ta korba, panie tego, w gębę trzepła.

— A widzicie Wincenty! A widzicie. Tak to tak...

Jeszcze bardziej zasmucił się pan

oficjał. Zwolnił mu się ruch szczęk mamlających ciasto maślanego różka.

Ale woźny podchwycił w mig.

— Niby to pan oficjał stale z temi zębami, a ten spieczony rożek to niby co? panie tego? Chrupanie!

Brzuch pana oficjała pobalansował między krzesłem a biurkiem. Ze śmiechu.

— He, he! Żartujecie Wincenty! Ale, ale zobaczcieno, bo coś mi tak dziś...

Przełknął kąsek i przepłukał dziąsła herbatą. Potem podszedł do okna i podniósłszy do światła owalny kwadrat rozsuniętych ust, pokazał palcem do środka.

— Yhy...

Woźny zniżył się przysiadem ku ziemi i zadarłwszy głowę w górę wiercił siwemi oczyma błyszczące śliną wnętrze ustnej jamy urzędnika.

— Siedzi, panie tego. To twarda cholera.

Zajęci przy oknie tą czynnością nie zauważyli, że otwarły się drzwi. Jakoś mniej skrzypnęły, czy co. A może te wrony za oknem przekrzyczały rzężenie zawiasów.

Dopiero głos szefa odwrócił ich od okna.

— Dzień dobry panie Skorpionek!

Mimo, iż głos był łagodny i przyjazny, strach zamknął z nagła rozwarte szczęki pana oficjała. Równocześnie coś mu spadło na prawą połowę języka.

Gładkie jak szkiełko z kolczyka.

Chwilkę plątało się po śluzie szczęk wreszcie połaskotało po tylnym rówku języka.

Pan oficjał ruszył wystającą gdyką...

Przez ułamek sekundy zdawało się, że pękną z bólu nabrzmiałe znagła świadomością oczy urzędnika. Wreszcie otworzył usta:

— Moje uszanowanie panu naczelnikowi... Ja przepraszam... że... tego — syczał inaczej niż zwykle przez zęby...

Szef uśmiechnął się dobrotliwie i poklepał oficjała po wyświeconej marynarce.

— Panie Skorpionek, przyszedłem oglądnąć pański pokój. Trzebaby panu te ściany odnowić, ha? Dali kredyty na odnowienie lokali.

— A dziękuję, najuprzejmiej dziękuję...

Plątały mu się zakłopotane, razem złączone palce. Słabe od starości oczy mrużyły się jakoś dziwnie poza siedzącą w połowie nosa ważką cwikiera.

— Ale coś mi pan źle wygląda, panie Skorpionek, ha? Wnieś pan podanie, to dam panu miesiąc zdrowotnego... Posiedzi sobie pan trochę w jakiem uzdrowisku. Borowinowe dobrzeby panu zrobiły, ha?

— Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję, ale to już ..

— Co ale? Niechże pan da jutro Ćwieczkowi do dziennika podanie... Do widzenia, panie Skorpionek! Zdrowia szanować, ha?

— Moje uszanowanie, moje uszanowanie.

Gdy zakryło przełożonego skrzydło drzwi, pan Skorpionek osunął się na krzesło bezwładnie jak worek trocin.

Opadła mu głowa na piersi. Zawisnęła jak podcięta makówka nad zawalonem papierzyskami biurkiem, nad tym niedojedzonym rożkiem, rozkraczonym jak półksiężyc w bibule, nad tą żółtą herbatą w szklance.

I siedział nieruchomo, przyszyty smutkiem do stołka.

Zdawało się, że tak ślęczy w bezmyślności i bezczynie. Tylko delikatny ruch policzków zdradzał jakąś uporczywą, odbywającą się za niemi czynność.

To język pana oficjała wsuwał się i wysuwał w rozżalonym spaźmie pomiędzy kwadratową bramką w murze sztucznych zębów.

Tam i napowrót.

Jak gdyby po raz setny czy tysięczny sprawdzał, czy nie myli się przypadkiem.

Ale raz wraz rżnął go w delikatne mięso ostry brzeżek odłamanego korzenia.

Siekacza nie było.

Najukochańszy, najwierniejszy ząb pana oficjała odmówił posłuszeństwa. Przez 60 lat czekał sposobności i teraz gdy kłapnęły na widok dyrektora szczęki, machnął sobie koziołka i wśliznął się przez śluz krtani do żołądka.

Nie chciał wejść do tego drewnianego mauzoleum w szufladzie biurka.

Gdy się już zmęczył mięsień języka i zaczął szczypać odrapany na nim naskórek, wciągnął pan oficjał nieco powietrza do płuc i zwisając dalej nieruchomo między poręczami krzesła a biurkiem szepnął:

— To już wszystko...

Pół godziny patrzył w deskę biurka.

I znowu szepnął:

— To już wszystko.

Właśnie się wściekła chmara wron na piszczelach kasztana. Jeszcze głośniej wrzeszczały niż zwykle.

Pan oficjał poruszył się. Wstał i... otworzył okno. Potem wziął z biurka bibułkę z resztą maślanego rożka i położył na blaszanym daszku przed oknem.

— Niechże już za mnie zjedzą.

Znów siadł zpowrotem na krześle i zapatrzył się w obrośnięty czarnym grzybem kałamarz.

Kwadranse zeszywały się w łańcuch godzin.

Dawno już ogniwo trzeciej godziny wyciągnął dzień ze studni czasu a pan oficjał wisiał dalej nad biurkiem. Nie słyszał, że tam strzelali już drzwiami urzędnicy na odchodne, że tu i ówdzie w korytarzu zaśpiewał w zamku klucz.

Siedział dalej przybity do stołka obuchem olbrzymiego smutku.

Ten siekacz górny, jedyny...

Cóż teraz znaczyły dwa napęczniałe zbiorami albumy Europy i zamorskich krajów i te tarcze pluszowe ze srebrnemi guzikami nad kanapą.

— To już wszystko — szepnął znowu. Z każdą minutą smutniał jeszcze bardziej, obojętniał na wszystko.

Zapadał się, zniżał w krześle jak wór szmat, który zbyt długo stał nietknięty na jednem miejscu.

Zapomniał, że to już dawno czas na obiad do gospodyni Agnieszki. Bo co mu tam dziś był ten omlet z groszkiem i kompot z jabłek, który zamówił sobie na dzisiaj.

I co mu była ta serja starego Meksyku, którą miał mu przynieść Łatkiewicz do zamiany o piątej.

I co tam nawet te wrony na kasztanie...

Dopiero wyrwał go z zadumy głos woźnego, który szedł ze szczotką w ręce czyścić pokoje.

— O! A cóż to pan oficjał dzisiaj? Już po czwartej, panie tego... Ho, ho i okno otwarte!

— Po czwartej? Ha, ha. To się zasiedziałem! — wyseplenił przez dziurę w zębach. Niby z zadziwieniem to mówił, choć wiedział instynktownie, że już dawno minął czas urzędowania. — Zaraz idę. Przyjdźcie, Wincenty, za chwilę do sprzątania.

Po odejściu woźnego pan oficjał wyjął z szuflady półarkusz ministerjalnego papieru. Potrzymał chwilę pod światło i obciął nożyczkami dokładnie w połowie trzeciej gwiazdy wodnego druku.

Potem napisał rozdrganem piórem:

„*Nr 32. Siekacz górny, drugi z prawej strony. Wyłamał się podczas rozmowy w biurze 4. listopada 1933. Ostatni mój ząb. Z powodu przypadkowego połknięcia brak go w zbiorze*".

Ćwiartkę złożył w prostokącik, jak wszystkie, i schował do drewnianego pudełeczka w dolnej szufladzie biurka.

Chwilę siedział jeszcze przy biurku, zapatrzony w powietrze, poczem szepnął sam do siebie głębokim wydechem:

— To już wszystko. Serja skończona!

Spojrzał jeszcze raz w rozczapierzony kasztan za oknem i wyszedł ociężale z pokoju...

Gdy na drugi dzień przyszło do biura zawiadomienie, że oficjała Skorpionka przewieziono w nocy do szpitala celem dokonania operacji ślepej kiszki, wszyscy życzyli ulubionemu współpracownikowi powrotu do zdrowia, najbardziej kancelista Ćwieczek, który bał się, że będzie składka na wieniec.

Z ŻYCIA POLAKÓW ZAGRANICĄ

AUSTRJA

Skutki rewolucji

W Austrji, gdzie mieszka 10 — 12.000 naszych rodaków wybuchła rewolucja, którą rząd Dollfussa-Feya potrafił stłumić, dopiero po 5-cio dniowych krwawych zmaganiach. Polacy naogół ucierpieli niewiele, jednak kilka naszych robotniczych stowarzyszeń („Siła" „Proletarjat" i „Naprzód") istniejących w Wiedniu zamknięto, czyli równowaga naszego życia organizacyjnego na terenie austrjackim została w pewnej mierze naruszona.

ARGENTYNA

Ciężka sytuacja

Na terenie Argentyny sytuacja tamtejszej Polonji była w dalszym ciągu bardzo ciężka. Stosunkowo dobrze powodziło się tylko kolonistom polskim zamieszkującym na północnym-wschodzie kraju, w terytorjum w Misiones. Dzięki skontyngentowaniu przywozu brazylijskiej herva-maté (herbata paragwajska), ceny tego artykułu utrzymują się w Argentynie na niskim wprawdzie, ale jeszcze opłacalnym poziomie. Rodacy nasi w Misiones, utrzymujący się z uprawy herbaty paragwajskiej, zarabiają wprawdzie znacznie mniej niż przed laty, ale jakoś mogą związać koniec z końcem i nie biedują jak większość rolników europejskich.

Gorzej jest rolnikom rolnym i przemysłowym. Jak wiadomo, głównemi artykułami wywozowemi Argentyny są: zboże i mięso mrożone. Wskutek kryzysu cena płodów rolniczych spadła katastrofalnie, a w związku z tem obniżyły się znacznie i zarobki robotników. Pozatem bieda rolników wywołała zmniejszenie się zapotrzebowania na wyroby przemysłowe. Wywołało to bezrobocie w miastach. W Buenos Aires, w Noivym Porcie, rozlokowało się w nędznych barakach kilka tysięcy bezrobotnych, utrzymujących się z żebraniny i skąpych zapomóg. Wśród nich znajduje się poważna liczba Polaków.

Życie organizacyjne polskie w krainie pampasów -' pia się w dalszym ciągu koło „Federacji Doi. Polski", centrali pięćdziesięciotysięcznej Polonji argentyńskiej. Ostatnio przybył do Buenos Aires nowy redaktor „Głosu Polskiego", p. Leczycki, publicysta i literat, autor głośnej w Polsce sztuki p. t.: „Sztuba". „Głos Polski" — organ oficjalny „Federacji" — jest dziennikiem, stojącym na gruncie idei konsolidacyjnej, propagowanej przez Radę Organizacyjną Polaków z Zagranicy.

Wyprawa polska do Kordyljerów

Polonja w Buenos Aires witała niedawno uroczyście członków wyprawy andyjskiej, kierowanej przez dra Jodko Narkiewicza. Celem wyprawy, złożonej z sześciu młodych i energicznych alpinistów polskich, jest zdobycie najwyższego szczytu w Ameryce — Aconcagua — wystrzelającego na 700 metrów nad poziom morza. Młodzi turyści spotkali się z bardzo serdecznem przyjęciem zarówno ze strony rodaków, jak i władz oraz społeczeństwa argentyńskiego. Podróżnicy dostali bezpłatne przejazdy kolejowe z Buenos Aires do Kordyljerów oraz wiele praktycznych prezentów. Najpoważniejsze pisma argentyńskie (prasa w Argentynie — to potęga!) zamieściły artykuły i notatki o wyprawie polskiej, podające przy sposobności wiadomości o Polsce współczesnej. Referat prasowy Poselstwa, kierowany sprężyście przez p. Iwaszkiewicza, zrobił wszystko, aby wyzyskać pod względem propagandowym ekskursję młodych alpinistów polskich.

BRAZYLJA

Bolączki brazylijskie

W sąsiadującej z Argentyną wielkiej Republice Brazylijskiej kryzys jest jeszcze ostrzejszy niż w Argentynie, ale nie tak mocno daje się odczuwać ludności polskiej.

W Brazylji mieszka około 300.000 naszych rodaków. Podczas jednak, gdy w Argentynie samodzielni rolnicy nie stanowią nawet $^1/_3$ ogólnej ilości Polaków, w Brazylji dochodzą do 90%. Kryzys pozbawił Polonję brazylijską gotówki, nie wpędził ją jednak w nędzę. Ludzie nie mają na porządne ubrania, ale odżywiają się obficie i z dumą powtarzają miejscowe przysłowie, że „w Brazylji nikt jeszcze z głodu nie umarł". Kolonista polski w Brazylji płaci minimalne podatki (w niektórych wypadkach tylko 1 zł. 50 gr. rocznie od gospodarstwa 25 hektarowego) i może przeżyć ciężkie czasy mając poddostatkiem kukurydzy, mandjoki, świń, miodu, kur, pomarańcz, tytoniu. Nawet cukier i wódkę może produkować z trzciny cukrowej bez potrzeby nabywania tych artykułów w drogich sklepach miejskich.

Olbrzymia większość organizacyj polskich skupiona jest w Centralnym Związku Polaków, którego biura mieszczą się w stolicy stanu (stan — autonomiczna prowincja, na jakie podzielona jest Brazylja) Parana-Kurytybie. Co dwa lata odbywają się walne zjazdy (sejmiki) Centralnego Związku Polaków na których dokonywują się wybory Zarządu i Rady Nadzorczej Związku oraz odbywa się generalna dyskusja nad ważniejszemi problemami Polonji brazylijskiej.

Na terenie C. Z. P. zwalczają się zaciekle dwa obozy: postępowy i zachowawczy. Poprzedni Zarząd C. Z. P. był zachowawczy, obecny jest umiarkowanie postępowy. Prezesem C. Z. P. jest p. Gontarski.

Bolączką Polonji brazylijskiej są walki religijne. Niedawno pod wpływem agitacji księży Kościoła Narodowego, kilka tysięcy naszych rodaków, głównie w miasteczku Ponta Grossa (drugie pod względem wielkości, trzydziestotysięczne miasto, znajdujące się w stepowej części Parany) oraz w pionierskich kolonjach polskich nad brzegami Ivahy przeszło na wyznanie starokatolickie. Na tle tego odstępstwa doszło do krwawych starć między sekciarzami a rzymsko-katolikami. Terenem szczególnie zaciętych bójek była kolonja Hervalsinho, oddalona o 200 kilometrów od kolei, zamieszkała przez emigrantów z Lubelszczyzny. W Kurytybie liczba sekciarzy jest znikoma, nie odgrywają oni tam poważniejszej roli.

CZECHOSŁOWACJA

Najlepsza organizacja

Mniejszość polska w Czechosłowacji, licząca 140.000 głów, jest najlepiej zorganizowana ze wszystkich Polonij na całym globie. Dość powiedzieć, że ruch spółdzielczy jest tam tak rozwinięty, że aż 43.000 naszych rodaków w Czechosłowacji należy do przeróżnego typu kooperatyw polskich. Również i szkolnictwo polskie jest tu wspaniale rozbudowane. Ostatnio upaństwowione zostało gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej w Orłowej, przez co rząd czeski zdjął ciężar jego utrzymania z barków społeczeństwa polskiego i umożliwił mu zaspokajanie innych, bardzo ważnych potrzeb kulturalno-oświatowych.

Pod względem politycznym mniejszość polska w Czechosłowacji zgrupowana jest w trzech partjach: katolickiej, ludowej i socjalistycznej Wszystkie partje tworzą jednak Komitet Międzypartyjny, ustalający ogólne wytyczne polityki polskiej na terenie Czechosłowacji. Dzięki tej jednolitości żywiołu polskiego, mamy w parlamencie czechosłowackim dwuch posłów, nie licząc sporadycznie wybieranych komunistów polskich.

Niedawno odszedł z terenu czechosłowackiego Konsul R. P. w Morawskiej Ostrawie, dr. Ripa. Jego ośmioletnia działalność spotykała się z powszechnem uznaniem nietylko wśród Polaków, ale i Czechów, co wyraziło się m. in. w założeniu na terenie śląsko-morawskim licznych Klubów Polsko-Czeskich.

FRANCJA

Dobra wróżba...

Afera Stawiskiego, krwawe rozruchy w Paryżu i strajk proklamowany przez Generalną Konfederację Pracy zwróciły uwagę całego świata na Francję. Teren ten interesuje nas szczególnie zarówno ze względu na tradycyjną przyjaźń polsko-francuską jak i obecność 700 000 Polaków, zgrupowanych głównie w północnych, górniczo-fabrycznych departamentach. W wypadkach jakie się rozgrywały na terenie Francji wzięli pewien udział i nasi rodacy. Przy Generalnej Konfederacji Pracy znajdują się sekcje polskie, które razem z oddziałami francuskiemi brały udział w strejku generalnym, skierowanemu przeciw „groźbom faszyzmu".

Polonja francuska jest wyjątkowo rozbita i skłócona. Wprawdzie centralą jej jest Rada Porozumiewawcza Związków Polskich we Francji, której trzonem jest Związek Robotników Polskich, ale do centrali tej nie należą ani zachowawczy Centralny Komitet Polaków, ani też sekcje polskie przy Generalnej Konfederacji Pracy. Przyznać jednak trzeba, że w ostatnich czasach rosną tendencje kompromisowe i prawdopodobnie w niedługim czasie Rada Porozumiewawcza obejmie całość polskiego życia organizacyjnego we Francji. Momentem zwrotnym będzie II-gi Zjazd Polaków z Zagranicy, który odbędzie się w Warszawie w okresie od 1-go do 6-go sierpnia roku bieżącego.

Większość naszych rodaków we Francji, to górnicy i robotnicy fabryczni. Zwłaszcza potężny odsetek stanowią Polacy w górnictwie, obliczają ich tam na 37% ogólnej liczby górników. Są miejscowości górnicze (np. Ostricourt) na północy Francji, gdzie ludność polska dochodzi do 70%. Czujemy się tam zupełnie tak samo jak na Śląsku lub w Zagłębiu Dąbrowskiem. Kryzys i ograniczenia stosowane do cudzoziemców pogorszyły sytuację robotników polskich Wielu z nich wraca do Polski, wielu jednak szuka zatrudnienia we Francji. Liczne są wypadki osiadania na roli. Szczególnem powodzeniem cieszą się tereny na południu Francji, gdzie opuszczane przez Francuzów tereny nabywane są lub wydzierżawiane przez naszych rodaków. Ujęcie w karby tego niezorganizowanego ruchu i spotęgowanie go mogłoby zapewnić byt wielu tysiącom bezrobotnym Polakom we Francji, posiadającym jeszcze zasoby zaoszczędzone w latach lepszej konjunktury.

Przyrost naturalny ludności francuskiej oddawna już spadł do zera. Urodziny bilansują się na remis ze zgonami. Ludność wiejska ucieka pozatem do gwarnych miast, gdzie życie jest weselsze i bardziej urozmaicone. Żyzne pola francuskie pustoszeją lub są wydzierżawiane lub nabywane przez Włochów. W departamencie Alp Nadmorskich już 30% ludno-



Związek byłych Wojskowych i Powstańców Rzeczypospolitej Polskiej na stan Rio Grande do Sul z siedzibą w Porto Alegre

Związek w swoich ramach propaguje ideologję L. M. i K. oraz żywo interesuje się „Polakami w całym świecie“ nadsyłając nam fotografje, artykuły itd. 1. Wilhelm Mazurek, obecnie kierownik szkoły w Gierałtowicach na G. Śl. Powrócił do kraju przed kilku miesiącami, po 5 latach pobytu w Porto Alegre, 2. Pani Mazurkowa, 3. Leszek Palędzki, obecny Prezes Związku, 4. Wincenty Jankowiak, prezes Tow. „Polonia“, 5. Rudolf Suchocki, ruchliwy członek Związku, 6. Bolesław Szczawiński, prezes Komisji Balotującej tegoż Związku, 7. Władysław Ciszewski, Wiceprezes Związku.

ści stanowią emigranci italscy. Może to — ze względu na sąsiedztwo Włoch — mieć bardzo groźne następstwa dla państwa francuskiego. To też Francuzi z dużą życzliwością patrzą na przychodźców z dalekiej Polski, którzy w żadnym wypadku nie mogą stanowić niebezpieczeństwa dla Francji, przeciwnie nawet przez swoją pracowitość i zamiłowanie do pracy na roli są źródłem jej bogactwa i potęgi.

Polacy ratują Francję przed wyludnieniem

Jak wykazują statystyki francuskie, przyrost ludności we Francji w roku 1932 wyraził się tylko w cyfrze 61.000 głów. Rok 1933 we Francji zapowiedział wprost katastrofalne wyniki. W pierwszym kwartale 1933 roku nadwyżka zgonów nad urodzinami wynosiła 32.259 głów. W drugim kwartale zarejestrowano 24.187 urodzin więcej od zgonów. Niby się „poprawiło“, ale w każdym razie Francja zamknęła pierwsze półrocze 1933 r. deficytem 8.072 mieszkańców. Wymarło małe miasteczko. W szczegółowym poglądzie przyrostu w drugim kwartale zaledwie 15 departamentów (stanów) wykazało nadwyżkę większą od 300 do 500 głów, może się pochlubić tylko 9 departamentów. W innych zanotowano, jeżeli nie ubytek to tylko nieznaczny przyrost.

Na szczęście statystyków francuskich na terenie Francji zamieszkuje przeszło pół miljona świeżej, młodej emigracji polskiej, przybyłej tam w ostatnich latach. To też poza Bretanją i niewielką liczbą departamentów rolniczych, mogących się poszczycić nikłą nadwyżką urodzin nad zgonami, największy przyrost ludności wykazały te departamenty, w których granicach osiedli emigranci polscy.

W taki sposób polski emigrant na ziemi francuskiej nietylko wykonywuje ciężką pracę w kopalniach i fabrykach, tudzież na roli, nietylko przyczynia się do rozwoju i dobrobytu kraju, ale również powstrzymuje gwałtowne wymieranie ludności we Francji.

MANDŻURJA

A tam jak żyją Polacy?

Na przeciwległym krańcu globu w Chinach jest prowincja, gdzie mieszka około 4.000 Polaków. Mamy na myśli Mandżurję, okupowaną dzisiaj przez Japończyków i przekształconą przez nich na „samodzielne“ państwo Mandżukuo.

Polacy przybyli do Mandżurji w końcu ubiegłego wieku, kiedy Rosjanie budowali słynną kolej Wschodnio-Chińską. Większość ich to albo pracownicy tej kolei, albo też ludzie żyjący z kolei w pośredni sposób (rzemieślnicy, dostawcy i t. p.) Na 4.000 Polaków mandżurskich 3000 mieszka w Charbinie.

Z chwilą okupowania Mandżurji przez wojska japońskie, los naszych rodaków tam zamieszkałych znacznie się pogorszył. Japończycy wypierają białych i bliska jest chwila, kiedy Polacy stracą wszelkie środki utrzymania w miastach. Będą musieli albo emigrować, albo też przenieść się na rolę. Ponieważ emigracja w dzisiejszych kryzysowych czasach nie byłaby wskazana, grono tamtejszych działaczy polskich wystąpiło z projektem założenia polskiej kolonji rolniczej na sowiecko-mandżurskiem pograniczu, gdzie jest jeszcze sporo terenów słabo zaludnionych. Kolonja taka byłaby ostoją dla rodaków, tracących podstawy egzystencji w Charbinie i innych miastach mandżurskich.

Polonja mandżurska, mimo swej znikomej liczebności, stanowi element nadzwyczaj oświecony i głęboko przywiązany do kultury i narodowości polskiej. Wszystko co jest w niej żywe i aktywne skupia się wokół „Gospody Polskiej“, stanowiącej centralę polską w Mandżurji. W Charbinie istnieje kilka szkół polskich (w tem gimnazjum), do których uczęszcza łącznie 400 dzieci.

NIEMCY

Złamać się nie damy

Przechodząc teraz na tereny graniczące z Polską, zwrócić musimy baczniejszą uwagę na hitlerowskie Niemcy.

Zawarty ostatnio na przeciąg lat dziesięciu pakt nieagresji między Polską a Niemcami przyczynił się nieco do odprężenia stosunków między Polakami a Niemcami na terenie Rzeszy. Nie słychać już o napadach na Polaków, o awanturach tego typu, jakie miały miejsce w Zakrzewiu, ale mimo tego akcja germanizacyjna nie ustaje ani na chwilę. Nie bije się wprawdzie patrjotów polskich, ale dyskretnie, bez hałasu odbiera się im pracę i głodem usiłuje zmusić do uległości. Reportaże Jana Wiktora, zamieszczone niedawno na łamach „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“, odsłoniły krecią robotę szowinistów, zmierzających w sposób chytry ale bezwzględny do wytępienia polskości na Śląsku Opolskim. Przepojony mistycznym nacjonalizmem ruch hitlerowski objawia olbrzymią ekspansję i łamie niektóre słabsze jednostki. Na szczęście Polacy w Niemczech pamiętają niejedno. Wielu osiwiałych bojowników polskości widziało orgje bismarkowskie w okresie Kulturkampfu, pamięta działalność H. K. T. i Komisji Kolonizacyjnej, więc byle co ich nie przestraszy. Ustały niesnaski między poszczególnemi grupami mniejszości polskiej w Niemczech i Związek Polaków, kierowany przez wytrawnego działacza dr. Kaczmarka, jest silniejszy niż kiedykolwiek.

U. S. A.

Poprawia się...

W latach 1931 — 1933 Polacy mieszkający w Stanach Zjednoczonych przeżywali straszliwy kryzys. System bankowy amerykański załamał się zupełnie, setki tysięcy naszych rodaków potraciło z trudem zgromadzone oszczędności. Ani jeden poważniejszy bank polski nie wyszedł cało z katastrofy. Spadek cen płodów rolniczych zrujnował naszych farmerów w Teksas i Wisconsin. Bezrobocie w przemyśle wyrzuciło na bruk 600.000 robotników polskich.

Życie organizacyjne polskie nie załamało się wprawdzie, ale rozwój dwuch potężnych organizacyj Związku Narodowego Polskiego (liczącego około 300.000 członków), i Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego (liczącego 180.000 członków) doznał gwałtownego zahamowania. Tylko rozrost polskich organizacyj harcerskich oraz polskich szkół dokształcających, w których młodzież polska uczęszczająca do amerykańskich szkół publicznych uczyła się języka polskiego, postępował w tempie żywiołowem.

Na szczęście władzę w Ameryce objął energiczny prezydent Roosevelt, który za pośrednictwem „Niry“ przeprowadził gruntowną reorganizację życia gospodarczego swojej ojczyzny. Liczba bezrobotnych zmniejszyła się o 4 miljony powstały liczne armje pracy, zatrudnione przy wielkich budowlach i zasilaniu jałowych pustaci, wyniszczonych rabunkową gospodarką poprzednich pokoleń.

W związku z ogólną poprawą polepszył się również i los Polaków. Jesteśmy pewni, że skoro ustąpią najbardziej jaskrawe formy kryzysu, życie organizacyjne znów się ożywi i czteromiljonowa Polonja w Stanach Zjednoczonych będzie odgrywać tę rolę, jaką z wielkiem powodzeniem odgrywała jeszcze przed kilku laty.

* * *

Uwaga całej, rozproszonej po świecie, ośmiomiljonowej masy Polonji Zagranicznej, skierowana jest na Warszawę. Tu od 1-go do 6-go sierpnia odbędzie się II-gi Wielki Sejm Polonji Zagranicznej. Sejm ten stanie się przełomowym momentem w życiu rodaków z Obczyzny. Skłócenie i rozbicie emigracyjne będzie od tego okresu należeć do przeszłości. To też wysiłki wszystkich patrjotycznie nastrojonych działaczy z terenów wychodźczych i przygranicznych zmierzają w kierunku ostatecznej konsolidacji Polonji Zagranicznej. Jak dotychczas, usiłowania te wydają pożądane rezultaty. Miejmy nadzieję, że praca tysięcznych imiennych i bezimiennych orędowników sprawy polskiej na obczyźnie doprowadzi wreszcie do stworzenia na II-gim Zjeździe Polaków z Zagranicy upragnionego Światowego Związku Polaków, symbolizującego jedność i zwartość wszystkich rodaków naszych rozproszonych po świecie.



Cennik ogłoszeń:

Cała strona 450 zł, 1/2 str. 250 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł., 1/16 str. 50 zł. Kolorowe ogłoszenia na 1. i 4. stronie według specjalnej umowy.

Wydawca i Redaktor odpow:. Leopold Nowak w Król. Hucie. Adres Redakcji i Administracji: Król. Huta G. Śląsk, ulica Hajducka 15, tel. 41167, konto P. K. O. Nr. 310.202. — Adres Redakcji **Gdynia — Gdańsk**: Redaktor **Michał Morena, Gdynia,** Świętojańska nr. 82, tel. 12-19. Prenumerata wynosi kwartalnie 3 zł. Zagranicznym prenumeratorom dolicza się koszta przesyłki. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.
Wykonano w Zakładach Graficznych Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie G. Śląsk, ulica Hajducka nr. 15.

